

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 22 lipca 1911. Nr. 29.

Straszny wypadek.

(Treść na str. 2).



Nr. 28. „Nowości illustrowanych“ zawiera: Zjazd dziennikarzy słowiańskich. — Zdobywca Portu Artura w Europie. — Trzy uroczystości w Łopatynie. — Zaprzysiężenie prezydenta m. Lwowa. — Zgon wybitnego finansisty. — Pamięci znakomitego pedagoga. — Złote gody. — Wystawa szkoły sztuk pięknych dla kobiet. — Kurs instrukcyjny dla oficerów rezerwowych.

Nowi posłowie do parlamentu z Galicyi.

Straszny wypadek.

(Do illustracyi tytułowej).

Tuż pod Nowym Sączem, w cegielni budowniczego Krajewskiego, wydarzył się w ubiegłym tygodniu nad wyraz tragiczny wypadek, tem tragiczniejszy, że ofiarą jego padło życie dwu młodych chłopaków, uczniów gimnazyalnych, którzy własną



Straszny wypadek: Miejsce katastrofy w cegielni Krajewskiego w Nowym Sączu, gdzie zginęli dwaj gimnazyaliści; (X) miejsce, gdzie stał komin.

pracą przebijając się przez świat, chcieli w czasie wakacyi zapracować parę groszy, potrzebnych na następny rok nauki. W tym celu zaciągnęli się między kadry robotnicze, zajęte w wspomnianej cegielni. I oto zaraz pierwszego dnia wydarzył się wypadek, który nietylko marzenia ich w niwecz obrócił, ale i życia ich pozbawił. Niespodziewanie mianowicie runął w tej cegielni wysoki komin a walące się gruzy i kamienie spadły na obu pracujących właśnie w krytycznem miejscu chłopaków. Jeden z nich, 14 letni Nahrgang, zginął na miejscu, przysypany gruzami, skąd dopiero następnego dnia zwłoki jego wydobyto, drugi zaś, 16 letni Jabłoński, odniósł silne uszkodzenie obu nóg, po których odjęciu w szpitalu nowosądeckim zmarł wśród strasznych cierpień.

Wedle ogólnej opinii przyczyną strasznej katastrofy było nieostrożne podkopywanie komina, na co nawet robotnicy podobno zwracali uwagę właściciela.

Wiadomość o tragicznej śmierci dwóch młodych chłopaków wywołała ogólne współczucie i żal.



Jubileusz stowarzyszenia głuchoniemych: Prezes tow. „Nadzieja“ J. Zellinger (X) i sekretarz Kolesiński, najstarsi członkowie towarzystwa.

Jubileusz stowarzyszenia głuchoniemych.

We Lwowie istnieje od lat 35 stowarzyszenie głuchoniemych p. n. „Nadzieja“. Oparte na zasadach wzajemnej pomocy, liczy to towarzystwo około 40 członków rzeczywistych, a kapitał zakładowy wzrósł w ciągu lat istnienia do wysokości 13.000 koron. Pod dzielnem kierownictwem prezesa i założyciela, emerytowanego oficyała namiestnictwa J. Zellingera i sekretarza Kolesińskiego, towarzystwo „Nadzieja“ rozwija się z roku na rok coraz piękniej i niejednokrotnie przynosi wydatną pomoc swym członkom.

Z powodu upłynięcia 35 lat od chwili założenia „Nadziei“ odbył się w ubiegłym tygodniu uroczysty obchód jubileuszowy, który zgromadził wszystkich niemal członków towarzystwa, oraz sporo gości z innych miast, między tymi kilku z Krakowa.

Rozpoczęto uroczystość nabożeństwem w kościele OO. Franciszkanów, poczem odbyło się doroczne walne zgromadzenie, na którem przyjęto do wiadomości sprawozdanie wydziału z czynności w ubie-



Jubileusz stowarzyszenia głuchoniemych: Grono członków towarzystwa głuchoniemych „Nadzieja“ we Lwowie z prezesem Zellngerem (X) w pośrodku.
(Fot. J. Jaworski, Lwów).

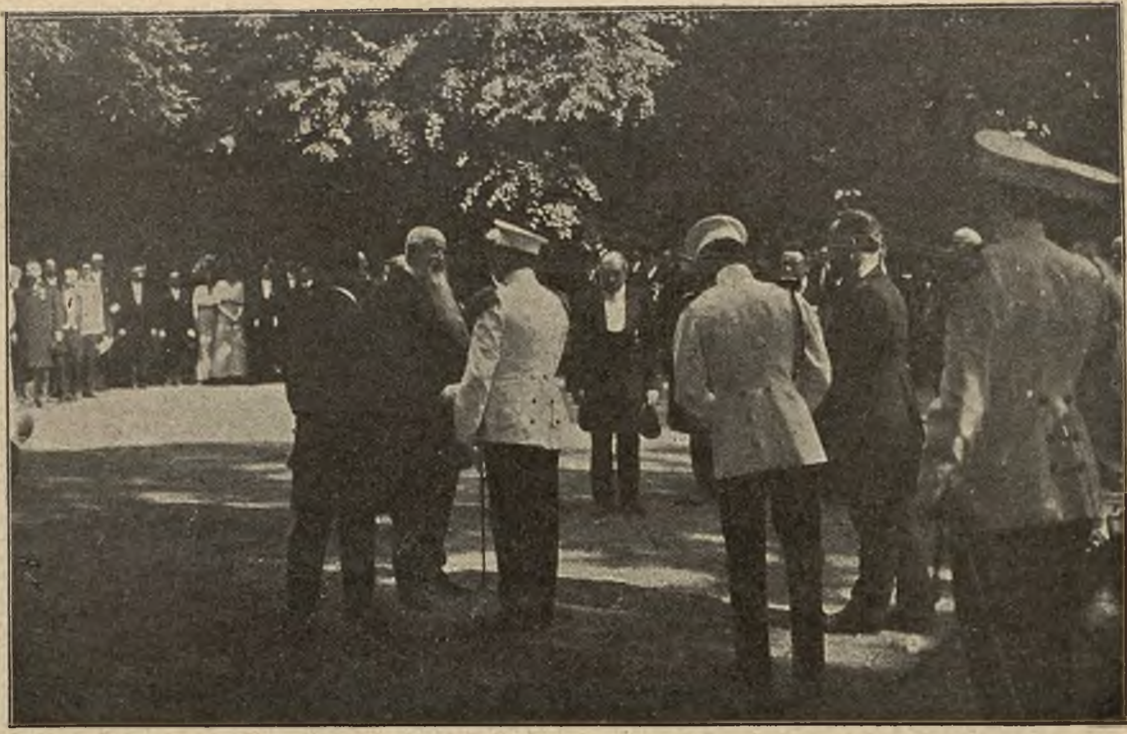
głym roku. Wieczorem, na zakończenie uroczystego dnia, odbyła się w sali „Gwiazdy“ skromna uczta, która przy wspólnym stole zgromadziła grono gości.

Illustracye nasze przedstawiają grono członków „Nadziei“ z prezydyum towarzystwa pośrodku, oraz zasłużonego prezesa Zellingera i sekretarza Kolesińskiego.

Zjazd słowiańskich dziennikarzy.

Od szeregu lat odbywają się corocznie w którymś ze słowiańskich krajów zjazdy dziennikarzy słowiańskich, jednocząc na towarzyskich zebraniach przedstawicieli prasy czeskiej, rosyjskiej, serbskiej, chorwackiej, bułgarskiej i t. d., nieoficyalnie także dziennikarzy polskich. Urzędowo bowiem wstrzymują się obecnie korporacye dziennikarzy polskich od udziału w tych zjazdach z powodów natury politycznej.

Także w tegorocznym Zjeździe prasy słowiańskiej, który odbył się w Belgradzie, uczestniczyło kilku dziennikarzy polskich, ale tylko prywatnie. Bardzo licznie natomiast stawili się dziennikarze czescy, z prezesem Związku prasy słowiańskiej, redaktorem Holeczkiem na czele. Ogółem uczestniczyło w zjeździe przeszło 300 osób.



Zjazd słowiańskich dziennikarzy: Król Piotr podczas rozmowy z honorowym prezesem zjazdu redaktorem Holeczkiem z Pragi.

Obrady kongresu toczyły się w gmachu skupczyny, a na pierwszem, inauguracyjnem posiedzeniu zjawili się miejscowi dygnitarze, a więc minister oświaty Jovanowicz, minister spraw wewnętrznych Trifkovicz, rektor wszechnicy Gavrilovicz, burmistrz



Zjazd słowiańskich dziennikarzy: Parada wojskowa w dzień urodzin króla Piotra, w obecności uczestników zjazdu.

Belgradu Davidovicz, rektor akademii prawosławnej Veselinovicz, metropolita Dimitri i i.

Na przewodniczącego powołano prezesa serbskiego związku dziennikarskiego, poetę Nusicza, jednym z wiceprezesów został p. Królikowski z Poznania a jednym z sekretarzów p. L. Stasiak z Krakowa. Honorowym prezesem Zjazdu obrano red. Holeczka.

Na sprawozdanie, choćby ogólnikowe, z obrad kongresu nie pozwalają nam szczupłe ramy artykułu. Wspomnieć tylko należy, że przyjęcie gości ze strony serbskich dziennikarzy było bardzo serdeczne i gościnne, że starano się uprzyjemnić im pobyt w stolicy Serbii i dostarczyć jaknajwięcej miłych wrażeń. Ponadto zaznaczyć trzeba, że równocześnie ze Zjazdem odbyła się w Belgradzie w gmachu gimnazyum II. wystawa prasy słowiańskiej, z osobnym działem polskim, pomieszczonym w jednej ze sal. Znalazło się tam około pół tysiąca okazów różnorodnych prasy polskiej. Otworzył tę wystawę uroczyście następca tronu ks. Aleksander.

Dalej uczestniczyli goście w oddaniu hołdu pamięci pierwszego odrodziciela narodu serbskiego przez oświatę ludową, Obradovicza, oraz w uroczystym obchodzie urodzin króla Piotra, z której to okazyi odbyła się parada wojskowa i msza polowa.

Zbytecznem byłoby dodawać, iż podczas Zjazdu odbył się szereg bankietów i uczt, w czasie których wygłoszono moc toastów. Tak samo zbyteczne byłoby wspominać, iż przy tej okazyi przyszło do nieporozumienia między dziennikarzami polskimi a rosyjskimi, w szczególności z osławionym Wergunem.

Zdobywca Portu Artura w Europie.

Bohater japoński, słynny na obu półkulach zdobywca Portu Artura, hr. Nogi, w powrocie z uroczystości koronacyjnych w Londynie, gdzie wraz z admirałem Togo i księciem Higathi Fushimi reprezentował cesarza japońskiego, zatrzymał się w większych miastach europejskich aby zapoznać się z urządzeniami wojskowemi tak zwanego cywilizowanego świata. Przez kilka dni bawił w Berlinie, przyjmowany entuzyastycznie na każdym kroku, gdzie się tylko pokazał, stąd udał się do Wiednia i zamieszkał w hotelu Imperial. Nieliczna kolonia japońska powitała nader serdecznie swego bohatera narodowego.

Na pytania dziennikarzy oświadczył jenerał, iż podróżuje jedynie dla przyjemności. Wiadomo jednak, że zamierza przy tej sposobności zwiedzić zakłady wojskowe w Wiener Neustadt i obóz w Brük

Jenerał Nogi jest obecnie prezydentem szlacheckiej Akademii wojskowej w Tokio, nic też dziwnego, iż interesuje go rozwój szkolnictwa wojskowego w Europie, w szczególności zaś w Niemczech i Austryi, gdzie ono stoi na stosunkowo dość wysokim poziomie.

Niskiego wzrostu, skromny, niewymuszony w obejściu, robi jenerał japoński bardzo sympatyczne wrażenie. W ojczyźnie swej cieszy się on ogromną popularnością, bohaterstwo i patryotyzm zjednały mu ogólne uznanie w całym świecie. Pod Portem Artura stracił dwu synów, którzy stali pod jego rozkazami. Jednego z nich sam wysłał na zagrożony posterunek, na którym wyginęli wszyscy Japończycy.

Według informacyi dziennikarskich jest jenerał Nogi katolikiem i należy do nielicznej gminy katolickiej w Tokio, której jest prawdziwą chlubą i ozdobą.

Po kilkodniowym pobycie w Berlinie i Wiedniu udaje się wprost do Konstantynopola, stamtąd zaś do swej ojczyzny.

Zdjęcie fotograficzne, zamieszczone w dzisiejszym numerze, przedstawia bohaterskiego Japończyka w czasie przechadzki po ulicach Berlina.



Zjazd słowiańskich dziennikarzy: Następca tronu serbskiego ks. Aleksander i prezes zjazdu Nusicz przed gmachem gimnazyum, gdzie pomieszczono wystawę prasy słowiańskiej.



Zaprzysiężenie prezydenta m. Lwowa: Złożenie przysięgi przez nowego prezydenta Lwowa Józefa Neumana w ręce wiceprezydenta namiestnictwa Grodzickiego. (Fot. M. Münz, Lwów).

Zaprzysiężenie prezydenta miasta Lwowa.

Stosownie do zwyczaju i przepisów ustawy, złożył w ubiegły poniedziałek przysięgę służbową nowo obrany prezydent miasta Lwowa Józef Neuman.

Zaprzysiężenie odbyło się w sposób uroczysty, w sali ratuszowej odświętnie przystrojonej. Przybyli wszyscy niemal członkowie rady miejskiej bądź w kontuszach, bądź we frakach, dalej urzędnicy gminy, a z ramienia rządu wiceprezydent namiestnictwa Grodzicki z szefem biura prezydyalnego r. Szultisem. Obie galerye zapełniły się publicznością.

O godzinie 12 w południe zajęli radni swe miejsca, przedstawiciele rządu zaś usiedli za stołem, na którym ustawiono krucyfiks. Na wstępie odczytał r. Szultis rotę przysięgi, którą prezydent Neuman powtórzył i zaprzysiągł, poczem wiceprezydent Grodzicki przemówił w kilku słowach, składając życzenia nowemu rządcy stolicy kraju i wyrażając nadzieję, że Lwów zyskał w nim dzielnego i pracowitego gospodarza.

W odpowiedzi przyrzekł prezydent Neuman wytężyć wszystkie siły, aby podnieść stan ukochanego miasta, przyczem spodziewa się wydatnej pomocy rządu krajowego. — Następnie zwrócił się p. Neuman do członków rady miejskiej i do grona urzędników z prośbą, by go w jego pracy i usiłowaniach wsparli. Życzeniem jego jedynem jest, by miasto wzrastało materyalnie i kulturalnie, by rozwijało się jak najpiękniej i by na zawsze pozostało polskiem, jak niem jest obecnie.

Na tem zakończyła się uroczystość.

Złote gody.

Niezwykła, dziś zwłaszcza tak rzadka uroczystość złotych godów odbyła się niedawno w prastarym grodzie trybunalskim, w Piotrkowie w Królestwie Polskiem. W tamtejszym kościele pobernardyńskim stanęli mianowicie na kobiercu ślubnym jako w 50-tą rocznicę zgodnego i szczęśliwego pożycia małżeńskiego pp. Ludwik i Franciszka Kasińscy, w otoczeniu licznej rodziny.

Sędziwi jubilaci doczekali się w swym związku licznego potomstwa, które dziś zajmuje wybitne stanowiska w kraju. To też rodzinę tę otacza ogólny szacunek i poważanie. Błogosławieństwa na dalszą drogę wspólnego, szczęśliwego pożycia udzielił sędziwej parze jeden z synów, który po ukończeniu studyów przywdział suknię kapłańską.

Piękna ta i prawdziwie wzruszająca uroczystość pozostanie na długo w pamięci obecnych.

Z okazyi tej uroczystości zamieszczamy dziś zdjęcie fotograficzne, przedstawiające parę jubilatów w otoczeniu rodziny i gości.



Zdobywca portu Artura w Europie: Jenerał feldmarszałek hrabia Nogi (X) na ulicach Berlina.



Złote gody: Ludwik i Franciszka Kasińscy, w otoczeniu rodziny i gości, w dniu złotego wesela w Piotrkowie Trybunalskim.



Zgon wybitnego finansisty: Ś. p. Albert Mendelsburg.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

10)

— Cóż — gadał — ja Litwin prawdziwy i mnie Litwa na sercu leżąca, a nie Polska. Ja przyjechawszy tutaj, powinienem był do was rzec: *Ne suprantu lankiszkaj*, nie rozumiem po polsku, ale cóż? Ot, skóry przyrodzonej nie zrzucisz ze siebie. Urodził ja się w Koronie i wychował w Koronie, taki zostało we mnie coś zawsze z Koroniarza, chociaż ja pracowawszy, pracowawszy ciężko nad sobą przez lat dwadzieścia bywało, żeby skórę koroniarską ze siebie zrzucić. Ale taki zupełnie jej nie zrzucił.

— Ale dlaczegóż stryjaszek masz z siebie zrzucać skórę polską, koroniarską, jak ją nazywasz? — zapytał Stanisław.

— Taj widzisz serce, ja sobie siedzacy w moim zaścianku, w głuszy ihumeńskiego powiatu, w kącie, deskami zabitym od świata, ale ja patrzę i ja myślę. Nu i co? ja patrzę na Litwę, czytam różne dzieła i cóż ja widzę? Oto że Polska zawsze tylko nieszczęście Litwie przynosiwszy. Gdyby nie wy, Litwaby zupełnie inną poszła i rozwinęła się drogą. A tak co? zabieraliście jej przez czterysta lat całą inteligencyę i zrobiliście Litwę chłopską. Bo taki któż tam jest Litwinem? tylko chłop i przez was to Litwa nie odegrała w historyi należytej roli.

— Co też stryjaszek mówi! — zawołał Stanisław — gdyby nie Polska, Litwa oddawna, jako taka, nie istniałaby na ziemi. Zjedliby ją Niemcy, a potem kto inny. Prawda, że jej inteligencya spolonizowała się, ale jest to naturalne następstwo wyższości kultury i cywilizacyi, ale dzięki właśnie Polsce Litwa mogła zachować po dziś dzień swe etnograficzne właściwości i język i obyczaj.

Stryj w dalszym ciągu rozwijał swoją teryę, że Litwa wszystkie nieszczęścia zawdzięcza przymusowemu związkowi z Polską, że musi się to raz skończyć i nieszczęśliwa ojczyzna Mickiewicza będzie żyła własnem, nie pożyczanem życiem i rozwijać wrodzone sobie przymioty, że język polski, wszędzie gdzie on tylko istnieje na Litwie, a głównie w kościele, winien być wyparty i zastąpiony litewskim, że wszelkie pretensye Polaków do Litwy raz na zawsze muszą być wytępione.

— Alboż Polska ma jakie pretensye do Litwy? — zapytał Stanisław.

— Taj jakże, ma ciągle. Ot naprzykład chcą Polacy, aby w kościołach litewskich kazania odbywały się po polsku. Powiedz ty mnie, serdeńko, dlaczego to ma być tak, skoro lud jest litewski. Albo co, pozakładali w Wilnie pisma polskie, żurnale, gazety, a Wilno taki jest stolicą Litwy.

— Nie przeczę, ale stryjaszek także nie zaprzeczy, że na Litwie jest poważna liczba Polaków, którzy mają słuszne prawa, by dla nich kazania odbywały się po polsku i by mogli czytać gazety polskie.

— To niech wypisujący je z Warszawy.

Był na tym punkcie nieubłaganym, domagał się wszystkich praw dla Litwinów, odmawiając ich Polakom, a gdy Stanisław wyraził zdziwienie, że jego nowy stryjaszek, będąc Polakiem „korzennym", jak się wyrażał Siergiej Bolesławicz, okazuje taką niechęć do Polski i taką gwałtowną miłość dla Litwy, pan Józef odrzekł:

— Taj to prawda, co ja będący z rodu Polak, ale ja się zlitwinił zupełnie. Ja, widzisz serdeńko, jestem za sprawiedliwością, mnie żal tego ludu, który Polacy chcieli spolonizować.

— Ale nie spolonizowali.

— A nie, bo Litwini się nie dali. Uparty to i twardy naród, jak skała. Ja siedzę między nimi dwadzieścia pięć lat i powiedzieć tobie trzeba, co ja ich pokochający i robiący wszystko, co można, żeby w nich duszę litewską obudzić. Ja tobie braciaszku i to powiem, co jaby tu nie przyjechawszy po tę tam jakąś sukcesyą, bo co u mnie po pieniądzach, dzieci u mnie ani żonki niema, a zaścianek taki jest i trzydzieści przy nim dziesięcin ziemi. To co mnie po pieniądzach. Chołodnik zawsze u mnie będący i kołduny i starka, a to mnie wystarczy i boćwina też. Czegóż więcej potrzebujący być mogę?

— Skoro tak, to nie rozumiem, po co stryjaszek tu przyjechał?

— Taj po to, żeby tej sukcesyi użyć na propagandę odrębności litewskiej i taki ja swoje zrobiący. Ty serce, braciaszku, jak myślisz, dużo tu będzie pieniędzy?

— Nie wiem. Skądże mam wiedzieć?

— Hm! bo to nieboszczyk brat Teodor bogaty. Ja to wiem.

Wypytywał się jeszcze o szczegóły co do spodziewanej sukcesyi, ale Stanisław zbył go jedną odpowiedzią, że nie wie o niczem, wreszcie rozmowa znów przeszła na owe nowe dążności Litwinów, nie chcących żadnego związku z Polską. Stanisława mocno drażniła ta okoliczność, że stryjaszek Józef, sam będąc Polakiem, przyjmował stronę Litwinów i okazywał prawie nieprzejednaną niechęć do Polski i Polaków. Naprożno tłómaczył zacietrzewionemu Litwinowi, że Litwę bez Polski byłyby dawno sąsiednie Niemcy pochłonęły, że Litwa swój byt i swoją kulturę zawdzięcza Polsce, że jeżeli szlachta litewska się spolonizowała, to stało się to nie skutkiem gwałtu i nacisku jakiego ze strony polskiej, ale wskutek wyższości jej kultury, drogą dobrowolnej ewolucyi, że nakoniec lud litewski jest na zbyt niskim stopniu cywilizacyi, by mógł odegrać tę rolę polityczną, jaką mu chcą narzucić różni marzyciele w rodzaju stryja Józefa.

Stryj Józef na wszystkie te dowodzenia uśmiechał się szydersko, ruszał ramionami, rozwichrzoną brodę gładził i odpowiadał, śpiewając szpetnie:

— Taj cóż, zobaczysz braciaszku, co to Litwa znaczy.

Dyskusya przedłużała się, rozdrażniała nawet Stanisława. W czasie kolacyi Miller, jak zwykle, tonem wyższości głosił, że wszystko, jak jest obecnie w Polsce, jest dobrem, bo rząd opiekuje się handlem i przemysłem, pozwala ludziom porządnym żyć i zarabiać dobrze, na co stryjaszek Józef śmiał się głośno i klepiąc z oburzającą Millera poufałością po brzuchu, gadał:

— Taj, krewniaku Millerze, brzuszek ci urosłszy na polskim chlebie i wiadomo ci zapewne, że świnia najlepiej tyje w błocie i gnoju.

Rzekłszy to, zaśmiał się, wstał i biorąc Stanisława pod rękę poprowadził go do ogrodu, mówiąc:

— Ot chodź, serdeńko, pogadamy jeszcze o Litwie i Polsce.

Poszli tedy. Wieczór był cichy i ciepły, prawdziwy wieczór letni. Lipy kwitły i szedł od nich słodki aromat i szmer senny, rozmarzony. W dojrzewających łanach żyta przepiórki ćwierkały i bąk gdzieś hukał i tysiące głosów jakichś tajemniczych drgało w łagodnej atmosferze wieczornego powietrza. Poprzez gałęzie drzew migotały gwiazdy na ciemnym błękicie nieba, psy we wsi naszczekiwały a pastuch pasący konie na wygonie, tuż za ogrodem dworskim, wygrywał tęskną melodyę na fujarce. Stanisława ta noc letnia rozmarzyła, szedł nie słuchając prawie dowodzeń stryjaszka Józefa, zagłębiając się w denerwujące myśli o znikomości życia ludzkiego i o marności wszelkich zabiegów ludzkich.

Te marne lipy, mówił sobie, mają dłuższe życie niż człowiek. Będą przez dwa i trzy wieki tak samo szemrały i kwitły i słodki aromat dokoła rozsiewać będą, kiedy ja gnić będę w ziemi i ze wszystkich moich myśli i moich marzeń i pragnień nic nie zostanie. Jakże nędzną, jak godną pożałowania jestem istotą!

I zwracając się do stryjaszka Józefa, który prawił swym śpiewnym głosem o niespożytych młodzieńczych siłach, tkwiących w narodzie litewskim, rzekł:

— I powiedz mi stryjaszku, na co się to wszystko zdało?

— Jakto na co?

— Zastanów się, czyż nie umrzemy jutro, może dziś jeszcze i czy cała Litwa i Polska i wszystkie ludy ziemskie ze swojemi pragnieniami, walkami, zmienią choć na jotę bieg rzeczy przyrodzenia?

— Taj serceż ty moje, ja ciebie nie rozumiejący. Czegóż tobie chce się?

— Czego ja chcę, czego ja chcę! Otóż to, że ja nic nie chcę, bo wiem, że wszystkie moje usiłowania, wszystkie moje dążności nie mogą dokonać tego, by słońce stanęło w biegu, by ta gwiazda, którą tu widzę migającą między liśćmi, zgasła lub znowu się zapaliła. Umrę i ty stryjaszku Józefie umrzesz, a świat pójdzie swoją koleją.

— Prawdę jesteś mówiący, że umrzemy, ale także coś robić potrzeba, a nie myśleć o gwiazdach. Ty serdeńko sfiksowałeś, czy co? A co tobie do gwiazd i do słońca? Ty siedź na ziemi, skoro takie prawo mający i ty pracuj dla ziemi i nie patrz, co będzie jutro. Jutro! a któż może być wiedzący, co będzie jutro? Gdyby tak wszyscy byli myślący, jak ty braciaszku, to ludzie mieszkaliby jeszcze w jaskiniach i z pałką polujący na niedźwiedzia. Łatwo sobie powiedzieć, nie będę nic robił, bo jutro umrzeć mogę. Ale gdyby ty serdeńko nie miał dachu nad głową, wygodnego łóżka z materacem, ciepłego pokoju i kurcząt z sałatą na kolacyę, toby ty nie myślał o gaszeniu i zapalaniu gwiazd.

— A ten dach nad głową, to wygodne łóżko i kurczęta z sałatą, dał tobie, serce, cały szereg pokoleń, w ciężkiej, krwawej pracy zdobywających te wygody, z których wnuki korzystają. Trzebaż, żebyśmy i my dla naszych wnuków lepszą, wygodniejszą możność istnienia przygotowali. A śmierć, cóż robić, zawsze ona przyjdzie, ale taki lepiej umierać w łóżku na piernacie, niż w jaskini na uschłych liściach, co?

Tak gwarząc o wiekuistych zagadnieniach ludzkich, zaszli niepostrzeżenie w najciemniejszy kąt parku, najbardziej zarosły i rzadko przez kogo odwiedzany. Na chwilę obaj umilkli, pogrążeni we własnych myślach, nie uważając, gdzie są, zasłuchani w tajemnicze głosy cichej nocy letniej. Nagle doszła ich z poza gąszczu krzaków i niskiego wału, otaczającego park z tej strony, jakaś półgłośna rozmowa. Stanisław przystanął i odrazu poznał, że mówiącym jest pan Antoni Jasiński. Przypomniał sobie, że tego podejrzanego kuzynka nie było na kolacyi i że pani Schmid narzekała na to i schowała dla nieobecnego całe jedno kurczę. Otóż pan Jasiński mówił:

— Co to zwlekać. Psiakrew, trzeba raz z tem skończyć. Ogłosimy tu rzeczpospolitą, wybierzemy zarząd i niech drżą burżuje. Macież broń?

— Mamy — odrzekł głos gardłowy, po którym Stanisław poznał Michaiła Srulewicza Mojsiejewicza, Litwaka, który na wiecu robotniczym przed kilku dniami tak dużo gadał o burżujach i o tem, że Polska do żydów należy.

— Ile sztuk?

— Sto pięć brauningów i mauzerów też kilkanaście — odpowiedział po rosyjsku — to starczy.

— A naboje?

— Da kakże, bez nabojów byłoby? są...

— To dobrze. Ja rzecz całą, cały plan ułożę, a potem do roboty. Wówczas sędziami będziem my! — zaśpiewał i zaśmiał się szydersko.

— Da, pan towaryszcz, a dieńgi? Bez dieńgów nikak nic nie zdziełamy.

— I dieńgi będą.

— A skąd?

— Skąd? stamtąd! — zawołał Jasiński, wskazując na dwór. Za parę dni sprawa sukcesyi, o której wam mówiłem, rozstrzygnie się i pieniądze będą. Bądźcie tylko gotowi na mój znak. Napadniemy burżujów i odbierzemy wszystko, a mając krocie w ręku, przewrócimy tu wszystko do góry nogami i stworzymy rzeczpospolitą proletaryatu. Cóż towarzysze i towarzyszki, dobrze rzecz obmyśliłem?

— Doskonale.

— A więc czekajcie na moje hasło i rozejdźmy się, bo to może nas kto podsłuchać. Ja też muszę się spieszyć, żeby podejrzeń nie wzbudzać. Do widzenia więc! Śmierć burżujom! Niech żyje proletaryat i czerwona republika!

XIV.

Pani Schmid siedziała w swym pokoiku tuż przy kuchni i płakała rzewnie. Pokoik był niewielki ale schludny. W jedynem oknie, wychodzącem na ogród, wisiały białe firanki, stały doniczki z kwitnącem geranium i fuksyą, szklane naczynia do łapania nieszczęśliwych much i wisiała klatka z ciągle świergoczącymi kanarkami. Przy jednej ze ścian umieszczone było łóżko zasłane, aż po sam sufit nieomal, poduszkami i pierzynami, a nad niem wisiał obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w złoconych ramach, cały zczerniały; tylko tu i owdzie przeświecały złocenia na koronie i groźnie patrzyły duże, surowe oczy. Za obrazem, zatknięta za ramę, sterczała wiązka kłosów pszenicy, palma i gromnica, przewiązana błękitną, spłowiałą wstążką.

Na małym stoliczku tuż pod oknem leżała czerwona aksamitna poduszeczka do szpilek, gruba książka do nabożeństwa, w skórę oprawna, mocno zniszczona i zabrudzona, widocznie od częstego, długoletniego używania, a z niej zwieszała się zakładka haftowana z napisem „mojej mamie" i „rok 1901". Obok książki leżał różaniec i stały w czarnych ramkach trzy fotografie. Jedna z nich, nieco na bok odsunięta, przedstawiała mężczyznę z dużemi, wypukłemi oczyma, czarnym wąsem obwisłym, z pod którego wyglądały wargi grube, zmysłowe. Był to portret nieboszczyka pana Teodora Kozłowskiego. Siedział na rzeźbionym fotelu z głową zadartą do góry, rozparty, dumny, próżny, z resztkami ciemnych włosów nad czołem.

Dwie drugie fotografie otoczone starannie wień-

cami z nieśmiertelników, przysunięte bliżej brzegu stołu, z widoczną miłością traktowane, przedstawiały: jedna panną Anielę, jako młodą dziewczynkę w krótkiej sukience, druga już w pełni rozwiniętą dziewicę. Na tej drugiej fotografii stała ona w wielkim kapeluszu na głowie, w bluzce doskonale uwydatniającej jej biust dobrze rozwinięty, w sukni obcisłej ładna, dumna, śmiało w świat patrząca. Jej czerwone wargi o zmysłowym zarysie przypominały doskonale mężczyznę na pierwszej fotografii.

Koło stołu był mały fotelik dobrze wyszarzany, stołeczek pod nogi, zresztą oprócz szafy, kanapki, paru krzeseł, kilku obrazków świętych, nic więcej nie było. Mdły nieco zapach lewandy napełniał ten pokoik cichy, zielonawym odcieniem ogromnej lipy, pod oknem rosnącej, przyćmiony. Rozlegał się w nim nieustanny świergot kanarków, brzęczenie pszczół na lipie zbierających słodycz, ciche łkanie pani Schmid i szelest sukni panny Anieli, nerwowym krokiem przebiegającej z jednego kąta w drugi.

Miała na sobie jasną, obcisłą sukienkę, uwydatniającą jej dwie piersi, wciętą kibić, szerokie biodra, a za każdym ruchem rysowały się z pod tej wąskiej obsłony jej nogi i kształt całej postaci, doskonale zbudowanej, jak tego zresztą wymagała moda. Była bardzo ładną z purpurowemi, lekko rozchylonemi wargami, znamionującemi żądzę pocałunku męskiego, z oczami czarnemi, roziskrzonemi mocno, zarumieniona, gniewna, biegająca niespokojnie po pokoju, ścigana trwożliwem i załzawionem wejrzeniem matki.

— Więc cóż? — zawołała, zatrzymując się przed tą ostatnią — więc mama nic nie powie, jeżeli się okaże, że ten mój ojciec... ojciec! — dodała z goryczą — nic ani mnie, ani mamie nie zapisał?

— Nic nie powiem, moje dziecko! — odrzekła cicho, lękliwie i z płaczem pani Schmid.

— Jakże to? wszak byłaś jego żoną, a ja jestem jego córką.

Pani Schmid zarumieniła się po same białka oczów, które spuściła i przysłoniła powiekami i szepnęła:

— Ja nie byłam jego żoną!

— Wiem o tem, że nie byłaś jego ślubną żoną, tylko kochanką, nałożnicą, jak mówią głupie męskie przepisy prawne, ale to istoty rzeczy nie zmienia. Dlatego, że zatabaczony ksiądz proboszcz was stułą nie związał, masz tracić swoje prawa, które ci natura dała? Nie! ja na to nie pozwolę, ja jestem jego córką i do mnie należy ten majątek.

— Nie należy do ciebie, Anielko, nie jesteś dzieckiem... jakby to powiedzieć... ślubnem.

Znowu na jej ładnej jeszcze, łagodnej twarzy otyłej blondynki, wykwitł żywy rumieniec i znać było, że rozmowa ta kosztuje ją bardzo wiele, że rani wszystkie jej uczucia. Panna Aniela spojrzała na matkę z pogardą i zawołała:

— Doprawdy, to oszaleć można. Ale skoro mama nie chcesz, to ja się upomnę o ten majątek.

— Anielko, nie zrobisz tego! — zawołała z błagalnym wyrazem, składając pulchne ręce z dołeczkami, jak do modlitwy.

— Dlaczego nie mam zrobić?

— Jeżeli mnie kochasz choć troszeczkę, nie zrobisz tego... nie narazisz mnie na wstyd i mękę... nie! nie! nie!

Wstała, wyciągając przed siebie ręce, jakby odpychała od siebie widmo tego wstydu, który już teraz palił jej twarz rumieńcem płomienistym. Panna Aniela popatrzyła na nią, w jej czarnych oczach iskrzących się gniewem i uniesieniem, zajaśniał jakiś błysk litości nad tą nieszczęśliwą matką, gorejącą od wstydu przed własną córką. Usiadła przy niej i łagodząc swój głos i zniżając go do szeptu nieomal, spytała:

— Czy mama go kochała?

Pani Schmid z wyrazem niekłamanego zdziwienia podniosła oczy na córkę.

— Kogo? — spytała.

— No... tego ojca mojego...

Znowu błękitne, załzawione oczy matki pokryły się powiekami, na twarzy wykwitł rumieniec, z bujnie rozrośniętych piersi wydobyło się ciężkie westchnienie i słowa:

— Dlaczego mię pytasz o to?

— Bo ja sądzę... zdaje mi się, że można oddać się mężczyźnie tylko wtedy, gdy go się kocha gorąco. Przypuszczam więc, że mama kochała, oddając się panu Teodorowi Kozłowskiemu.

Pani Schmid milczała, tylko oczy jej pozostały spuszczonemi, a z piersi ciągle dobywały się ciężkie westchnienia. Po niejakim dopiero czasie, po długiem wahaniu się, na nalegania córki, odrzekła, że nie kochała wcale tego, którego przez lat kilka była kochanką.

— To już tego nie rozumiem — zawołała z oburzeniem panna Aniela — jakto! mama go nie kochałaś, a pomimo tego byłaś jego kochanką? Cóż więc za kobietą jesteś? Byłaś dla niego narzędziem rozkoszy, samicą żądną samca, nie dbając o to, kto jest tym samcem i czy na widok jego serce bije uczuciem, czy też tylko zmysły pragną zadość uczynienia. Nie kochałś go, dlaczego więc mu oddawałaś się i to nie raz, nie wypadkiem, ale przez ciąg całych lat?



Mamy — odrzekł głos gardłowy.

— Nie pytaj mnie o to Anielko, nie zmuszaj mię rumienić się przed własną córką.

— To są frazesy. Tu niema mowy o wstydzie i rumieńcach. Lecz chcę wiedzieć prawdę. Dlaczego mu się oddawałaś?

— Ja sama nie wiem, dlaczego.

— Opowiedz mi wszystko.

— Co ci mam opowiedzieć? — zawołała z przerażeniem pani Schmid, podnosząc się na krześle.

— Jakim sposobem zostałaś jego kochanką i dlaczego przez lata byłaś nią, nie kochając go.

— On nie był do kochania — odrzekła posępnie pani Schmid.

— Więc dlaczego byłaś jego nałożnicą?

— Co za wyraz! i to do matki się tak mówi?

— Tu nie idzie o wyraz, ale o rzecz. Skoro go nie kochałaś, skoroś mu się oddała nie z miłości, ale dla innych, mnie nieznanych względów, byłaś prostą nałożnicą... tak, nałożnicą...

Pani Schmid zwróciła się twarzą do obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, której groźne oczy zdawały się spoglądać na nią surowo i składając ręce jak do modlitwy, szepnęła:

— Boże, jakże mię ciężko za me grzechy karzesz!

— Tak! — zawołała z szyderstwem w głosie Aniela — najlepiej się odnieść do Bozi, to dużo pomoże. Czemuż cię ten Bozia nie powstrzymał od tego grzechu, bo to grzech był ciężki, grzech przeciw prawom natury oddawać się mężczyźnie, nie kochając go wcale.

Pani Schmid załkała głośno i padając na kolana przy łóżku, szepnęła:

— Ciężką mi Boże zadajesz pokutę, ale zasłużoną, tak zasłużoną. Niech się dzieje Twoja, nie moja wola.

Panna Aniela spojrzała na tę schyloną, kającą się swych grzechów, wstrząsaną łkaniem postać i uczuła głęboki żal w duszy. Bądź co bądź to jej matka, która miała ją w swem łonie, własną piersią wykarmiła, pieściła, chroniła i kochała gorąco. Szepnęła ona:

— Wstań mamo i jeżeli jest wina po twej stronie, ja cię z niej rozgrzeszam. Ale skoro byłaś kochanką mego ojca, bez udziału uczucia w tym stosunku, skoro może padłaś ofiarą osamotnienia, jagnięcego charakteru, zabiegów niegodnego samca, skoro szaleniec pozostawił w mej osobie owoc tego stosunku, to niech on zapłaci za to, niech spadkobiercy, jeżeli w testamencie nie będzie o nas wzmianki, to uczynią, inaczej zrobimy, ty i ja, skandal, głośny skandal.

— Ja tego nie zrobię! — odrzekła stanowczo pani Schmid.

— Dlaczego?

Wyprostowała się i z rezygnacyą i uporem dusz miękkich i słabych mówiła:

— Dlatego, że zgrzeszyłam, że zasłużyłam na piekło, że powinnam pokutować w ciszy i pokutować będę.

— A czy ty wiesz, że sukcesorowie mogą cię stąd jutro wypędzić?

— Niech wypędzą! Zasłużyłam na to.

— Wszak jesteś biedna, nawet stu złotych własnych nie posiadasz.

— To prawda, że nie posiadam.

— Więc czeka cię nędza.

— Wiem o tem... ale zasłużyłam na wszelką, choćby najokrutniejszą karę i dla zbawienia mej grzesznej duszy, chętnie ją poniosę.

— Co za głupstwa! co za książe urojenia! Ale ja nie chcę nędzy, ja chcę żyć i życia użyć!

Pani Schmid usiadła znowu z wyrazem zmęczenia i wyczerpania. Białe ręce opuściła niedbale, głowę oparła o poręcz fotelu, oczy przymknęła i spoczywała tak przez chwilę nic nie mówiąc, wyczerpana do dna przez tę rozmowę. Panna Aniela znów poczęła w rozdrażnieniu biegać po pokoju, odgrażać się skandalem, wołać, że ten majątek jest jej majątkiem, ten dom, ta wieś, te sumy bajońskie, które chce rozdrapać ta hołota, co się tu zjechała, do niej i tylko do niej należą i ona ich sobie wydrzeć nie da. Pani Schmid ścigała wzrokiem pełnym smutku, biegającą po pokoju córkę i wreszcie, gdy ta zmęczona, wzburzona, na chwilę zatrzymała się, spytała łagodnie:

— Anielko, na co tobie tyle pieniędzy?

— Na co? i mama się o to pyta? czyż nie wiesz, że ja jestem kobietą czynu, społeczniczką, ja nie chcę żyć jak inne gęsi mojej płci, czekające na samca. Nie! ja chcę działać, pracować, pójść między lud, między proletaryat, uczyć go, przekonać go, że jest olbrzymem spętanym, że świat i przyszłość do niego należy.

Mówiła to wszystko głosem podniesionym z okiem błyszczącem ogniem zapału i w tym entuzyazmie swoim dla ulubionych idei, była naprawdę ładną z żywym rumieńcem na twarzy i jędrną piersią falującą pod jasną bluzką. Pani Schmid złożywszy swe pulchne z dołeczkami rączki na zaokrąglonym brzuszku, patrzyła z pewnego rodzaju dumą i zachwytem na swą córkę tak mądrą, że ona nic a nic z tego nie zrozumiała, co Anielka mówi, ale co właśnie świadczy, że Anielka jest mocno uczoną i niezwykle mądrą panną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Instrukcyjny kurs dla oficerów rezerwowych.

Czas pokoju przeznaczony jest na przygotowania wojenne, które jedynie, zdaniem znawców stosunków międzynarodowych, zapewniają zgodne pożycie między „zaprzyjaźnionemi“ mocarstwami. Ze szkodą wszelkich innych działów budżetowych lwia część dochodów państwowych obracaną bywa na zakupno nowych okrętów, balonów, armat i karabinów; zaledwie się je zaprowadzi i wypróbuje, już tymczasem zgłasza się nowy wynalazca z ulepszonym modelem a zarząd wojskowy, nie chcąc i nie mogąc pozostać w tyle, robi „perskie oko“ do ministra skarbu, ten się poci, skrobie po łysinie, narzeka na ciężkie czasy i pustki w kasie, koniec końców asygnuje potrzebne fundusze, aby powaga i znaczenie mocarstwowe państwa przypadkiem nie ucierpiały.

Prócz najrozmaitszych inwestycyi, które corocznie pochłaniają setki milionów, a mają na celu jedynie zabezpieczenie europejskiego pokoju i równowagi politycznej, bajońskie sumy idą także na najrozmaitsze kursy przygotowawcze dla dzielnych synów Marsa. Zadaniem ich wyszkolić należycie członków korpusu oficerskiego i to nietylko pozostających w służbie czynnej, ale i przydzielonych do tak zwanej rezerwy zapasowej.

Wiadomo powszechnie, jakie znaczenie w czasie mobilizacyi i wojny ma regularne i sprawne funkcyonowanie kolei żelaznych, które wówczas przechodzą pod bezpośrednie kierownictwo władzy wojskowej i mogą a nawet muszą wpłynąć stanowczo na powodzenie tej armii, która stosunki komunikacyjne potrafiła należycie uporządkować.

W tym celu zapoznaje się oficerów z istotą kolejnictwa, z budową torów i utrzymaniem ruchu, a co najważniejsze z jego zabezpieczeniem, armia bowiem nieprzyjacielska bezpośrednio po wkroczeniu w granice stara się zniszczyć wszelkie środki komunikacyjne, aby przez to utrudnić sytuacyę i sparaliżować ruchy przeciwnika. Tem właśnie zajmował się kurs, urządzony skutkiem rozprządzenia ministerstwa wojny przez komendę dziesiątego korpusu w Przemyślu. Był to pierwszy kurs instrukcyjny dla oficerów rezerwowych (urzędowa nazwa: Eisenbahn-Sicherungsdienst). Funkcye nauczycieli pełnili major i dwaj kapitanowie sztabu jeneralnego i major obrony krajowej, frekwentantami byli sami oficerowie rezerwowi, odbywający w tym właśnie czasie ćwiczenia.

Rycina nasza, zamieszczona w niniejszym numerze, przedstawia uczestników kursu wraz z nauczycielami.



Instrukcyjny kurs dla oficerów rezerwowych: Grono frekwentantów kursu z nauczycielami w pośrodku. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Wystawa szkoły sztuk pięknych dla kobiet.

Akademia sztuk pięknych w Krakowie jest dotychczas zamknięta dla kobiet. A że wśród płci pięknej u nas nie brak talentów malarskich, nie brak adeptek sztuk plastycznych, więc celem umożliwienia im studyów w kraju, powstała w Krakowie z inicyatywy p. Maryi Niedzielskiej szkoła, przeznaczona wyłącznie dla kobiet. Uposażona w grono nauczycielskie, złożone z profesorów Akademii, pomieszczona w lokalu specyalnie adaptowanym i prowadzona na tym samym — co najmniej — poziomie, co Akademia krakowska, pozwala utalentowanym kobietom wykształcić się na pierwszorzędne siły. W program szkoły wchodzi akademickie studyum aktu, studyum malarskie modelu w pracowni i plain'airze, studyum martwej natury, portretu, dalej wycieczki poza Kraków celem studyum pejsażu.

Już z tego programu widać, jak szerokie pole dla rozwoju talentu stwarza szkoła p. Niedzielskiej. To też frekwencya wzrasta z roku na rok, a rezultaty, jakimi trzyletnia praca grona nauczycielskiego może się szczycić, są istotnie bardzo duże.

Na zakończenie trzeciego roku działalności szkoły urządzono wystawę prac uczenic z zakresu malarstwa i rysunków. Pomieszczono je w dwu salach. Znajdują się tam studya rysunkowe głów i aktu akademickiego, dalej studya malarskie martwej natury, portretu, aktu i pejsażu.

Bardzo ważny dział nauki w szkole p. Niedziel-



Wystawa szkoły sztuk pięknych dla kobiet: Obrazy z kursu rysunków dla dzieci.



Wystawa szkoły sztuk pięknych dla kobiet: Rysunki i pejsaże.

skiej stanowi kurs sztuki stosowanej, prowadzony przez prof. J. Bukowskiego. Zaprowadzenie tego kursu jest — pomijając kwestyę artystyczną — czynem społecznym, bo uczenice, choćby po opu-



Pamięci znakomitego pedagoga: Projekt pomnika ś. p. Prószyńskiego, dłuta Cz. Makowskiego.

szczeniu szkoły nie poświęcały się zawodowo sztuce, to w każdym razie ani sobie ani swemu otoczeniu nie pozwolą po barbarzyńsku urządzać i ozdabiać mieszkań, ani bez dobrego smaku ubierać się, jak to się dziś bardzo często widzi.

Wspomnieć jeszcze trzeba o działalności p. Niedzielskiej jako nauczycielki rysunków dla dzieci, nowości nietylko w tej szkole, ale wogóle w Polsce. Do szkoły tej bowiem można posyłać i dziatwę, która zaprawia się do studyowania i rysowania modeli, zaznajamia się ze zasadniczemi rzeczami z zakresu rysunku i malarstwa nabiera zamiłowania piękna. Prace dziatwy z tego kursu były również na wystawie i budziły ogromne zainteresowanie.

Szkole p. Niedzielskiej i jej działalności artystycznej należą się wyrazy rzetelnego i szczerego uznania.

Trzy uroczystości w Łopatynie.

Staraniem Sokolstwa polskiego odbyły się ubiegłej niedzieli trzy uroczystości w kresowem miasteczku Galicyi wschodniej, Łopatynie.

Z inicyatywy oddziału konnego „Sokoła-Macierzy" we Lwowie odnowiono gruntownie pomnik na grobie generała kawaleryi polskiej, Józefa Dwernickiego, złożonego na wieczny spoczynek w r. 1857 na cmentarzu w Łopatynie. W niedzielę właśnie odbyło się poświęcenie nowego pomnika. Ceremonii tej dokonał ks. biskup Bandurski, a Sokoli na koniach w mundurach ułanów polskich trzymali wartę przy pomniku. Następnie odbyło się uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej, poświęconej pamięci generała Dwernickiego, a wmurowanej na murach kościoła. Przemawiał tu prezes Związku sokolego dr. Fiszer. Wreszcie ks. biskup Bandurski poświęcił kamień węgielny pod gmach „Sokoła" w Łopatynie.

W uroczystościach powyższych wzięło udział Sokolstwo ze Lwowa i pobliskich miast, oddział konny ze Lwowa, orkiestra lwowskiego „Sokoła IV.", miejscowa straż pożarna, okoliczne obywatelstwo i lud wiejski.

Pamięci znakomitego pedagoga.

W Warszawie stanąć ma w najbliższej już przyszłości pomnik na cześć zmarłego niedawno twórcy elementarza dla ludu, ś. p. Konrada Prószyńskiego, znanego pod pseudonimem Kazimierza Promyka. Model pomnika, wykonany przez artystę-rzeźbiarza Cz. Makowskiego, przedstawia Promyka jako przewodnika ludu. Wskazuje włościaninowi polskiemu drogę do lepszej przyszłości. U dołu pomnika dzieci wiejskie uczą się czytać na elementarzu Promyka.



Trzy uroczystości w Łopatynie: Tablica pamiątkowa Dwernickiego na farze w Łopatynie.

Warto zaznaczyć, że przed kilku tygodniami opuściło prasy drukarskie pięćdziesiąte szóste wydanie tego niezrównanego elementarza. W ten sposób ilość egzemplarzy elementarza Promyka powiększona została do liczby 1 miliona i 110 tysięcy.

1,110.000 egzemplarzy polskiej książki! Rzecz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa. Chłop i robotnik polski pod panowaniem rosyjskiem rozkupili w przeciągu lat około 30 tu przeszło milion i sto tysięcy egzemplarzy jednej książki.

Elementarz, o którym mowa, nazywa się „małym elementarzem Promyka". Doskonalszym od niego



Jubileusz wieloletniej pracy nauczycielskiej: Jubilatka p. Hildowa w otoczeniu przybyłych na zjazd dawnych uczenic. Obok niej ks. prałat Leon Pastor, a dalej inicyatorka zjazdu p. Gostyńska z Krakowa.

jest drugi „duży elementarz Promyka“ p. n. „Obrazowa nauka czytania i pisania“. Tego drugiego elementarza, opracowanego i wydanego po raz pierwszy przez Promyka w kilka lat po „małym elementarzu“, rozeszło się dotychczas 260.000 egzemplarzy. Mały elementarz kosztuje zaledwie 8 groszy (4 kopiejki), a duży 30 groszy (15 kopiejek).

Promyk przez ułożenie i wydawanie tych elementarzy oddał całemu narodowi naszemu w ogólności, a ludowi polskiemu w szczególności olbrzymią usługę. Cichy a wielki ten człowiek nietylko jednak za elementarze jest czczony. Wszak to on założył i przez blisko 30 lat wydawał dla ludu polskiego słynną „Gazetę Swiąteczną“, która dziś rozchodzi się w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy. Napisał też wielką ilość książeczek pouczających. Zdziałał w Królestwie sam tyle, co gdzieindziej całe towarzystwa oświatowe. Nazwano go wielkim nauczycielem i przewodnikiem ludu polskiego. I słusznie. Posiadał on nieograniczone zaufanie tego ludu, jak nikt przed nim i dotąd po nim. Niema wsi w Królestwie, niema chaty, gdzie imię Promyka byłoby nieznane.

Podajemy dziś w „Nowościach“ projekt pomnika Promyka, wykonany przez Cz. Makowskiego.

Jubileusz długoletniej pracy nauczycielskiej.

Rzadka uroczystość odbyła się w Przemyślu przed paru dniami a mianowicie zjazd koleżański byłych uczenic Zakładu wychowawczo-naukowego oraz liceum żeńskiego p. Maryi Hildowej połączony z urządzonym przez jej najdawniejsze elewki obchodem jubileuszowym, mającym na celu uczczenie długoletniej pracy i zasług p. Maryi Hildowej, jako niestrudzonej i wielce poważanej i cenionej nauczycielki i dyrektorki zakładu wychowawczego, właścicielki i przełożonej liceum żeńskiego w Przemyślu, zamiłowanej, zacnej pracownicy, idealnej wychowawczyni powierzonej sobie młodzieży.

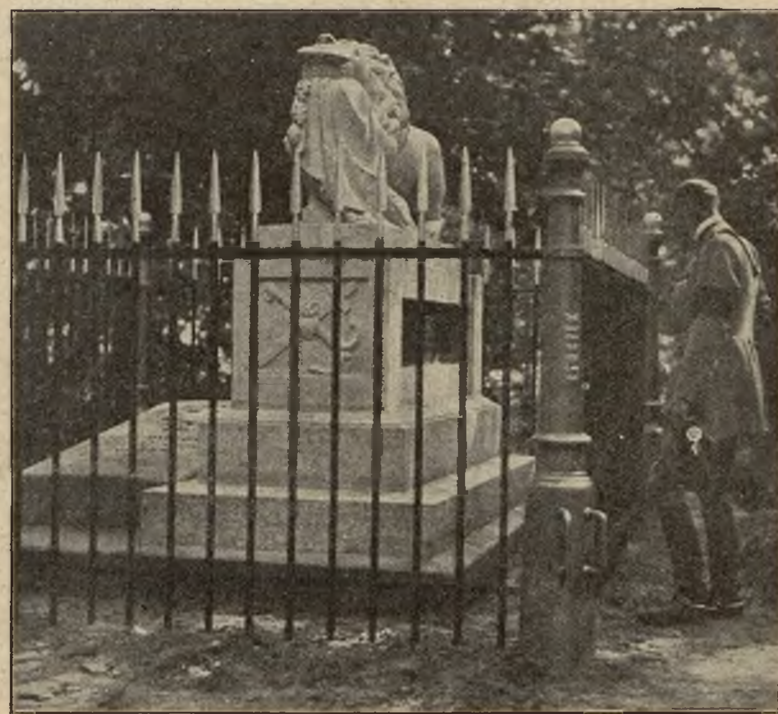
Obchód ten, którego inicyatorką była p. Kazimiera Gostyńska, żona nadinspektora kolei państwowej w Krakowie, rozpoczął się solennem nabożeństwem w kościele OO. Franciszkanów. Mszę św. celebrował ks. prałat Pastor, jeden z najdawniejszych katechetów w zakładzie jubilatki.

Po nabożeństwie zebrały się uczenice p. Hildowej w pięknie przystrojonej sali liceum żeńskiego. Tam nastąpiły przemówienia i gratulacye. W imieniu najdawniejszych uczenic przemówiła p. Gostyńska, w imieniu młodszych p. Smutnówna, w imieniu liceantek uczenica V. klasy. Jubilatce wręczono oprócz kwiatów, także album z licznymi podpisami uczenic. Następnie odczytano liczne telegramy gratulacyjne, a co najważniejsze: odczytano i wręczono jubilatce dekret pochwalny Rady szkolnej krajowej, pełen wysokiego uznania dla tyloletniej pracy i zasług podjętych około wychowania i kształcenia panienek, a tem samem społeczeństwa. — Oprócz uczenic, przyjaciół i znajomych przybyli również i dostojnicy kościoła wraz z ks. biskupem Fischerem, który w pięknej mowie podniósł zasługi jubilatki, jako tej, która zakład swój przez długie lata prowadziła zawsze w duchu Bożym, według najszczytniejszych ideałów. Odczytano również list ks. biskupa Pelczara, w którym przysyła jubilatce swe błogosławieństwo i najwyższe uznanie dla jej tak pięknej a owocnej pracy wychowawczej. W imieniu reprezentacyi miasta przemówił wiceburmistrz dr. Smutny.

Obchód ten, pełen uroczystego i serdecznego nastroju wzruszył do głębi jubilatkę, która rozrzewniona dziękowała serdecznie wszystkim obecnym za objawy uznania i pamięci o jej pracy.



Trzy uroczystości w Łopatynie: Poświęcenie kamienia węgielnego pod gmach sokoli. Na czele stoją: prezes gniazda łopatyńskiego sędzia Jakubowski, prezes Związku sokolego dr. Fiszer, prezes okręgu V. Janikowski i ks. biskup Bandurski.



Trzy uroczystości w Łopatynie: Odnowiony pomnik generała Dwernickiego na cmentarzu łopatyńskim.



Nowa osada wojskowa na Węgrzech: Grupa uczestników uroczystości poświęcenia z arcyksiążętami Leopoldem Salwatorem (1), Józefem (2) i Karolem Albrechtem (3) w pośrodku.

Nowa osada wojskowa na Węgrzech.

Cwiczenia austryacko węgierskiej artyleryi w strzelaniu ostrymi patronami napotykały dotąd na wielkie trudności, odbywały się bowiem w sześciu miejscowościach, znacznie od siebie oddalonych, co powodowało znaczne wydatki i na samej nauce strzelania odbijało się bardzo niekorzystnie. Aby temu zapobiec, zakupiło ministerstwo wojny ogromne obszary nieużytków w Hajmasker na Węgrzech, w komitacie Vesprem, obok jeziora Błotnego. Ze względu na nieurodzajność terenu cena kupna była stosunkowo niską, wynosiła bowiem nie całe dwa miliony koron za kilka tysięcy morgów.

Według planów majora Schilhana powstała tutaj, na dawnem pustkowiu, nowa osada, urządzona prawdziwie po europejsku z budynkami mieszkalnymi, mogącymi pomieścić 260 oficerów i barakami dla dwu tysięcy żołnierzy. Prócz tego znajdują się obok stajnie dla tysiąca koni i remizy na sto dział polowych. Budowę rozpoczęto w r. 1908, z końcem zaś r. 1910 doprowadzono do skutku i obecnie oddano na użytek wspólnej armii.

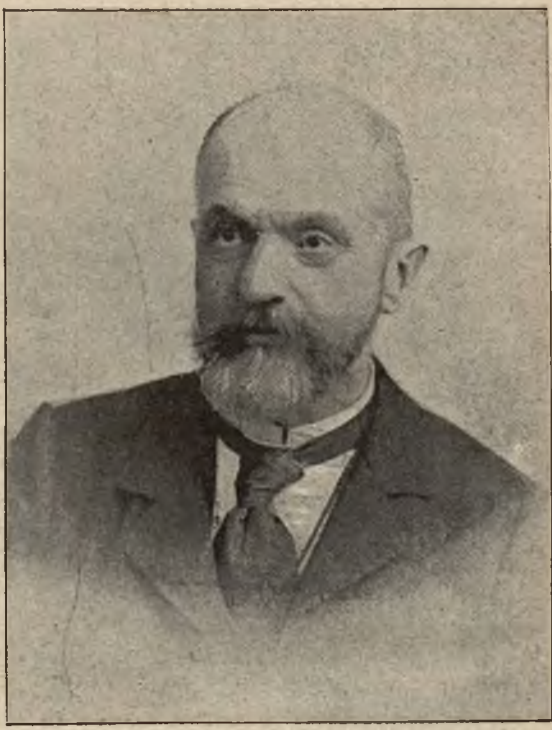
Na przestrzeni pięćdziesięciu morgów zbudowano sześćdziesiąt trzy kolosalnych budynków, pomiędzy którymi odznacza się szczególniej dom przeznaczony dla komendy, stanowiący całość architektoniczną z wieżą wodną, której zbiornik może pomieścić dziennie pięćdziesiąt metrów kubicznych. Nadaje on budowli wygląd wspaniałego zamku. Ponieważ teren wapienny jest bardzo ubogi we wodę, wywiercono z wielkim nakładem pracy i kosztów kilka studni o głębokości ponad czterdzieści metrów, będą zaś rozprowadzone osobnym rurociągiem po wszystkich ubikacyach mieszkalnych i stajniach.

Znajdują się tutaj ponadto budynki gospodarcze i folwarczne, hale targowe, składy, rzeźnie, łazienki, centrala elektryczna, fabryka lodu, poczta i wiele innych urządzeń postępowych, mających służyć ku wygodzie mieszkańców. Założono także na przestrzeni dziesięciu morgów wspaniały park z boiskami dla rozmaitych sportów.

W przeciągu kilku lat na dzikiem pustkowiu powstało miasto wojskowe, jedyne w całem państwie austryacko-węgierskiem, obecnie centralna strzelnica całej artyleryi.



Pieszo z Warszawy do Galicyi: Grono uczniów warszawskich z swym przewodnikiem.



Zgon byłego dyrektora kolei: Ś. p. Cezar Gerard Festenburg.

Uroczyste poświęcenie i otwarcie osady odbyło się w dniu 13 lipca b. r. w obecności jeneralnego inspektora artyleryi, arcyksięcia Leopolda Salwatora, oraz arcyksiążąt Józefa i Karola Albrechta i najrozmaitszych stopni dostojników wojskowych. Po mszy polowej poświęcił wśród huku dział biskup polowy armii austryackiej obóz i strzelnicę, następnie zwiedzono nowe urządzenia, które zyskały sobie pochlebne uznanie wszystkich fachowców.

Illustracye, zamieszczone w numerze, przedstawiają budynek komendy, oraz grupę uczestników uroczystości poświęcenia.



Nowa osada wojskowa na Węgrzech: Budynek komendy centralnej strzelnicy artylerzyckiej w Hajmasker nad jeziorem Błotnem.

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU,

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

38

Aż Orlikowskiemu, który do nielada był zaprawiony desperacyi, w głowie się zakręciło. Toć już, już czarne pasma grają żółtymi kołnierzami, już widać grzebień bagnetów — a baterya rwie, pędzi, jakby swem cielskiem do tratowania szarżowała.

Pałasz Bema łysnął w powietrzu. Galopujący przy generale trębacz — zadął przeciągle... i zwalił się z konia. Baterya skręciła dzwonami, szarpnęła przodkami. Sześć gardzieli wygarnęło z rykoszetu do piechoty, na odległość dwóch pistoletowych strzałów.

Maszerujący batalion sybirskiego pułku skotłował się, zmienił front i rzucił na bateryę — lecz wtóra salwa mocniej go skrwawiła, trzecia wyżarła krwawą, rozwartą ranę.

Szalone, niepojęte, uwłaczające strategicznym rachubom wysunięcie się Bema — wywołało popłoch, zagrodziło dopływ piechoty, szturmującej ostróg, a co gorsze dla Pahlena i Kreutza, umożliwiło batalionowi polskiemu pomnożenie załogi.

Jakoż ostróg Sowińskiego mocniej się ozwał. Mrowie, zawieszone na jego zboczach, topniało, nikło.

Feldmarszałek stracił rezon, lecz naczelnik sztabu, Toll, czuwał.

Pięćdziesiąt armat zwróciło ogień przeciwko Bemowi. Trzy tysiące kawaleryi Chiłkowa poszło na odcięcie ostrogu od rezerw z Warszawy. Szesnaście tysięcy gwardyi, świeżego, stalowej mocy żołnierza, maszerowało podwójnym krokiem.

Baterya Bema pod gradem piekielnej kanonady zwijała się, skręcała jak wąż i jeszcze zionęła, jeszcze na harce szła, jeszcze zdawała się urągać wojskowej sztuce.

Bem podczas dwu adjutantów pchnął z wezwaniem, aby cała rezerwowa artylerya wystąpiła, by Sołtyk ze swojemi armatami wystąpił z szańców, by Bogusławski uderzył całą dywizyą...

Lecz za szańcami Warszawy w sztabie głównym lepsze miano bitwy ogarnięcie, tam uchodzący z pod Woli major Dobrogojski mówił już o wycięciu w pień załogi ostroga, tam nie przypuszczano, że Sowiński z karabinem w ręku trwa jeszcze na ostatnim bastyonie — tam nakoniec wiedziano również o zdobyciu przez nieprzyjaciela dwóch fortyfikacyi pod Rakowcem, tam nie ufano, sromano się hazardu.

Bem trzymał się jeszcze, jeszcze nie myślał schodzić z pola. Zdemontowano mu jeden granatnik, ubito pięciu koni, dwunastu kanonierów pławiło się we krwi — nie ustępował.

Aż półkole armat nieprzyjacielskich jęło się zacieśniać, skupiać.

Baterya cofnęła się i zasunęła za ostróg. I tu znów hekatomby zbierała i tu znów żniwo śmiertelne święciła.

Bem pieszo trwał przy narożnem dziale, którem dowodził profos Dziurbacki. Dowodził a raczej nastawiał, rychtował i podpalał bez komendy, bez nawoływań, bo zdławione krtanie żołnierzów i oficerów oddawna przestały kusić się o zagłuszenie piekielnego huku, bo uszy nie chwytały, nie rozróżniały innego dźwięku nad łomot działowy.

W pobliżu dymił bastyon ostrogu.

Bem podniósł do oka lunetę. Z lewej pędziła baterya konna. Bem chciał ją wskazać Dziurbackiemu, lecz ten i bez lunety ją dostrzegł, szarpnął silnią i wypalił.

Bem aż się roześmiał. Jedno dzwono nadjeżdżającej bateryi zaryło ziemię.

Już to wogóle licho jakieś zagrało w starym wachmistrzu tego dnia. Sprawiał się niby najtęższy drab dwudziestolatek. Okrakiem do silni przywarł i ani jednego strzału nie dał na marne. A kiedy mu z początku Orlikowski ogniomistrza dawał do wyręki, to nań mało z pięściami nie poszedł.

Baterya konna z lewej dała salwę i obsypała piachem Dziurbackiego. Profos skinął na żołnierzy — szarpnął armatą za koła i ku bateryi ją zwrócił.

Bem znów podniół lunetę. Dymy nad bastyonem rozwiewały się, rozsnuwały...

Generał wpił lunetę — gdy wtem bastyon Sowińskiego wypalił w sam środek pozycyi Bema...

Wola była wzięta.

Bem z potarmoszoną swą bateryą rzucił się jak kula do drugiej linii szańców i pomknął do sztabu, do generalicyi, do Krukowieckiego, do zastępcy wodza.

Generalicya zczerniałego od prochu i dymu Bema powitała gradem wymówek. Bem był winien! On przyczyną klęski, on sprawił, że sztab główny Mokotowa tylko strzegł, że Umiński atak na Wolę miał za demonstracyę, że Małachowski uległ Umińskiemu, że Dębiński nie zdołał dać odsieczy.

Bem nie tłómaczył się, nie osłaniał, jeno wyszeptał matowym, bezdźwięcznym głosem:

— Trzeba odebrać Wolę!

Hm — odebrać!

Umiński podtrzymał gorąco Bema. Prądzyński się zgodził. Rozkaz zapadł.

I w godzinę niespełna Bem na czele dwóch bateryi wysunął się zboczami fortu ośmdziesiątego trzeciego i zaczął prażyć piechotę. Bogusławski z dwoma batalionami czwartaków i zbieraniną ósmego i dziewiątego pułku ruszył na bagnety. Z prawej pomykali krakusi, kryjąc zbliżanie się czterdziestu armat pod Chorzewskim.

Bitwa zawrzała wściekła, rozpaczliwa, zajadła. Toll dwieście armat wycelował na obronę ostrogu. A przecież piechota Bogusławskiego parła, następowała.

Aż dwa pułki karabinierów rzuciły się z furyą na czwartaków.

Czwartacy zachwiali się, jęli uginać się, cofać, mięszać z karabinierami. Charzewski stracił cel. Działa szańców polskich umilkły, aby mierząc w nieprzyjaciela, własnych nie dziesiątkować pułków. Artylerya Tolla nie ważyła się przykładać lontów.

Piechota brała się za bary. Przewaga już była widoczna. Gdy naraz Bem porwał się, jak lew na obronę swych szczeniąt, pod karabinierami odprzodkował i zaczął piekielną kanonadę. I miótł kartaczami kolumnę piechoty i darł ją na strzępy i miażdżył.

Czwartacy z ósmakami mocniej natarli...

Już tylko kilkadziesiąt kroków dzieliło od pierwszego schronu ostrogu, już żołnierze jego potykali się o trupy, o zawały ciał ludzkich — gdy za karabinierami wyrosła nowa dywizya...

I znów czwartacy cofnęli się i znów parci zajadle jęli ginąć, topnieć — i znów Bem wyrąbał krwawą szluzę i znów zbocza ostrogu lśniły się rdzawemi plamami tuż... tuż do bagnetów polskich.

Aż nagle na czwartaków uderzyła fala grenadyerów Szachowskiego. Bogusławski nie dał się zachwiać.

Lecz za pierwszą falą szła druga, trzecia, piąta, siódma...

Chorzewski je płużył, szarpali bokami krakusi, Bem darł kawałami — daremnie.

Grenadyerzy płynęli jak potok wezbrany. Na okiełznanie go, na zatrzymanie, na odparcie zabrakło naraz i kartaczy i bagnetów i lanc...

Raz jeszcze czwartacy zdołali przeprzeć grenadyerów, raz jeszcze Chorzewski armaty wyszczerzył — i rzeka grenadyerów rozlała się i zagarnęłaby, pochłonęła polskie bataliony, gdyby nie mordercze salwy osłaniającego odwrót Bema.

O godzinie piątej popołudniu armaty umilkły. Nastąpił rozejm, rozejm dwóch wyczerpanych przeciwników, rozejm bez parlamentarzy, bez warunków, bez podpisów.

Na zgaszenie lontów bateryi feldmarszałka — bateryę polskie odpowiedziały zgaszeniem lontów.

Zagrały trąbki długo, smętnie, zadudniły tarabany i cisza zaległa, cisza śmierci. Aż kiedy wietrzyk rozegnał włóczące się dymy, ku tej ciszy jęły wysuwać się wozy ambulansowe i krążyć i skrzypieć i przebierać trupy.

Główna kwatera polska czyniła obrachunek, wynik jego był straszny.

Linia pierwsza redut była przerwana. Na ostrogu Sowińskiego stały armaty Paskiewicza. Przystępu od strony Woli broniły już tylko wątłe szańce i wstęga okopów. Trzy forty czołowe pod Rakowcem były w ręku Murawiewa. Na lewem skrzydle błysk pomyślniejszy. Korpusik Strandmanna wyparty za Służewiec. Licha przewaga! Ubytek w szeregach straszny. Trzy tysiące poległych, tyleż rannych i dogorywających i tysiąc niewolnika. Czwarta niemal część załogi stracona. A tu spodziewania, pokładane w woluntarskim animuszu gwardyi narodowej, rozwiane. Bo gwardya ledwie utrzymać mogła w karności wzburzone miasto, bo tłumom wylęknionego motłochu przybyły teraz gromady ojców, dzieci, żon, matek, gromady obłąkane bólem, gromady, szukające tych, co legli, co nie wrócili.

I w kwaterze głównej zaczęła się praca gorączkowa, rozpaczliwa, beznadziejna praca. Godziny nie było do stracenia, bo żadnej pewności, czyli Paskiewicz nie wznowi ataku, czyli nie zamyśla napaść znienacka, czyli na świt dopiero szturm drugi odkłada.

Przesuwano gorączkowo brygady, wzmacniano szańce i okopy, zbrojono wolskie przedmieście, przylegające dworki zamieniano w reduty, zwożono amunicyę, opatrywano bateryę.

Śród generalicyi i sztabów ucichły raptem strategiczne dociekania, olśniewające głębią wywody. Całe wojsko zapomniało nagle o sejmowych racyach, o ustroju nowego Rządu, o klubach, cywilach, godnych i niegodnych wodzach. Ład, jedność, sprawność i przytomność oficerów i żołnierzy była teraz tak wielka, tak trzeźwa, że budziła grozę, że przywodziła na myśl tych, co sposobią się do odejścia na wieki.

Inaczej było śród dygnitarzy narodowego Rządu, inaczej śród generalskich dostojników, którzy od początku wojny, od pierwszego dnia rewolucyi największe zwycięstwa za stołem sesyonalnym święcili, inaczej śród posłów i statystów. Tam troszczono się nie tylko o życie, ale i o tryumf stronnictw, pognębienie przeciwników, tam procesowano się jeszcze, jeszcze spierano o wyższość, o czystość swej bezbrzeżnej ku ojczyźnie miłości. Tam również wyglądano z niepokojem Danenberga, wyglądano go do późnej nocy. Napróżno. Wreszcie zniecierpliwiony prezes Rządu narodowego postanowił sam zagadnąć feldmarszałka o warunki.

Prądzyński ruszył do forpoczt rosyjskich. Po jego powrocie, na rozmowę z Paskiewiczem wyjechał Krukowiecki. Dalej znów do Warszawy przybył Berg i znów Prądzyński z Breańskim do głównej kwatery feldmarszałka podążył.

Pertraktacye wlokły się, rwały, wybuchały pogróżkami, nawiązywały ponownie — a w ostatku przed świtem ledwie utknęły na potrzebie uchwały sejmu.

Paskiewicz zgodził się czekać na tą uchwałę do godziny pierwszej w południe.

Lecz sejm był jak łódź rozkołysana, najsłabszej poddająca się fali.

Więc najpierw na hiobowy raport prezesa Rządu o niepodobieństwie obrony, o zagładzie grożącej miastu, uląkł się, ogłosił się za rozwiązany i Krukowieckiemu prawo do układów przyznał. A potem, kiedy Niemojowski przemówił, nabrał otuchy i Krukowieckiego pozbawił dygnitarstwa. Ale po przedłożeniach Prądzyńskiego wrócił do zwątpienia, do lęku, do pomięszania.

Aż armaty zagrzmiały na godzinę pierwszą... Krukowiecki wysłał parlamentarza z żądaniem przedłużenia zawieszenia broni, ile że sejm już kończy narady...

Paskiewicz odmówił. Sejm trwał dalej. Mówcy mieli jeszcze mnóstwo obelg, klątw, pustych frazesów do wyrzucenia, do powiedzenia...

Czterysta armat rosyjskich wybijało minuty, morze krwi lało się na szańcach, okopach i redutach żołnierze polscy ginęli setkami, walka rozpaczliwa, beznadziejna wrzała na przestrzeni od Wierzbna po Marymont — a tam, w izbach sejmowych, ojcowie narodu jeszcze nie mogli się zgodzić na jedno.

A tymczasem brak postanowienia, brak stanowczego słowa był wzrastającą wciąż dla wojska klęską — bo albo o daremne ofiary je przyprawiał, albo kazał mu płacić hekatombami za mitręgę w przyjęciu układów — albo też skazywał na odosobnienie, nabronienie miasta wbrew jego woli i intencyi...

Warszawa bowiem naraz wyrzekła się wszelkich o Saragossie wspomnień. Póki nieprzyjaciel zdala z wojskiem się zmagał, póki mundurem narodowej gwardyi starczyło imponować kumoszkom, póty imć panowie obywatele, kupczykowie, kauzyperdy i ciury wielkomiejskiego warsztatu radzi byli w konfederatki się stroić a pałasikami dzwonić. Teraz atoli, kiedy kule armatnie już za okopy jęły padać, gdy kramom, kamienicom, betom, mieszczańskim kurnikom zagroziły pożary, rabunek, gdy już nie wrzaskiem ale czynem, własną miazgą należało przysiąg dowieść — teraz tym samym tłumom już nie odwagi, nie serca zabrakło, lecz godności.

I w mieszczuchach zagrała nareszcie krew, ta neoficka, ta nikczemna, ta żywiona od wieków polskim chlebem, ta samolubna, ta kramarska, ta, która zabagniała sarmackie grody — i gwardya narodowa wyprawiła deputacyę do sejmu w osobach imć panów municypalności prezydentów, juści z żądaniem nie wystawiania Warszawy na zniszczenie...

A ponieważ sejm ciągle wahał się — więc dla tymczasowego ułagodzenia wezbranych sentymentów patryotycznych stolicy, trzeba było z szańców, z okopów zabrać pułk piechoty i zamienić go na milicyę — trzeba było jeszcze osłabić tych, co nadludzkim jeno wysiłkiem stawili czoła nieprzyjacielowi.

Bem dnia tego czuwał od świtu, mając sześćdziesiąt armat na pozycyi między Wolą i krakowskim traktem. Na pierwsze ozwanie się armat Paskiewicza runął piekielnym ogniem i podzieliwszy

artyleryę swą na dzwona, jął harcować niemi a podjeżdżać zawadyacko. Aż śmiałością swą zaraził przeciwnika, bo i ten wziąwszy na ambit, wysunął raptem cztery armaty i zaczął Bema podchodzić.

Bem snać się stropił tym atakiem i cofnął pospiesznie. Cztery armaty nabrały jeszcze większego impetu, bo poszły do pościgu i odprzodkowały tuż za plecami Bema. Ale nim wycelowały, bateryе Bema zawróciły i odwrót armatom przecięły. Zdobycz była niewielka, bo kanonierzy rosyjscy dwie zdążyli zagwoździć — a kilkunastu żołnierzy ujść ku swoim — lecz w zamian pojmany został młody pułkownik sztabu, co na ochotnika z armatami się wysforował. Co najważniejsze, przy pułkowniku znaleziono papiery i służbowe rozkazy, z których wynikało, że artylerya feldmarszałka mogła mieć już tylko na jeden dzień szturmu amunicyi.

Bem wysłał z tą wiadomością Orlikowskiego do zastępcy wodza a sam nowy szyk armat sprawiał. Bo i gra teraz wielka iść miała. Feldmarszałek nie chciał puścić płazem czterech swoich dział. Dwieście armat ustawił półkolem na Bema.

Generał odpowiedział dwiema liniami, załamanemi w tył pod kątem, którego wierzchołkiem był granatnik Dziurbackiego.

Bem w środku szpiczy trójkąta ogarniał nieprzyjacielskie pozycye — gdy naraz dojrzał na schronie dawnej reduty Ordona lśniącą gromadkę oficerów.

Generał pochylił się z konia ku celującujemu wachmistrzowi.

— Hej — Dziurbasiu — patrz tam, nieco z lewej, na reducie... feldmarszałek!

Profos raczej odgadł niż dosłyszał, chwycił za wysówkę i prowadził nią długo — aż wypalił długim nawiasem. Kula skryła się za kłębem dymu... Feldmarszałek upadł.

Bem zaparł na reducie lunetę i widział, widział wyraźnie, jak Paskiewicza podźwignięto i prowadzono... Nie zabit był, lecz skaleczon.

Generał chciał skinąć na wachmistrza i coś doń się ozwać, gdy wtem granat nieprzyjacielski pękł tuż i bryznął złomami. Koń pod Bemem skręcił się — Dziurbacki legł porażony kontuzyą.

Morderczemu pojedynkowi artyleryi zaczęła sekundować piechota. Chmary batalionów rzuciły się do ataku, nawiązując dziesięć naraz różnych bitew. Lecz najgwałtowniejsza na razie wynikła pod redutami, broniącemi miasta od strony jerozolimskich rogatek.

Bem nie miał teraz stałej pozycyi, bateryami swemi raz mitygował zaciekłość Finlandczyków, którzy pod wodzą Murawiewa imponować chcieli grenadyerom Szachowskiego, raz dziesiątkował kirasyerów — to znów słał pole czerwonymi mundurami lejbhuzarów. Raz Gorczakowa wyzywał na armaty, to znów osadziwszy Pahlena, Kreutzowi dobierał się do skrzydła.

Bem był nieustannym ratownikiem, odsieczą, ocaleniem, wytchnieniem. Sam docierał wszędzie, sam w największym stawał ogniu. Dwóch adjutantów stracił, trzeciego dosiadał konia, po dwakroć kula karabinowa rozorała mu dawną bliznę na prawej goleni. Kazał kanonierowi przewiązać sobie nogę gałganem i tyle się o nią kłopotał.

Aż Bema niepokój ogarnął, lęk, strach bezmała. Żołnierze polscy walczyli, jak lwy... ale szeregi ich grobowe zalegało milczenie. Ani jeden okrzyk zadufania z piersi ich się nie wyrwał, ani jedno zawołanie tryumfu na znak udaremnionego ataku. Toż samo uczucie nurtowało i oficerów i generałów. Umiński, Bogusławski, Milberg, Dębiński pod gradem kul ani drgnęli. Jagmin szarżował bez wytchnienia. Muchowski z brygadą, nawet jednego nie stanowiącą pułku, opierał się korpusowi. A przecież i ci dowódzcy i ci nawet byli, jak ludzie, co urągają śmierci dlatego, że z nią się pogodzili, jak ludzie, co wyrzekli się wszelkiej tęsknoty, co dziesiątkowali nieprzyjaciela dlatego, że żyli jeszcze...

Na chwilę tej trwogi Bema dotarł doń wreszcie podpułkownik Orlikowski.

— Co — jak — cóż wódz? Doręczyłeś pan papiery?

Orlikowski skinął apatycznie.

— Doręczyłem.

— I cóż na to? Niesłychanie ważne! Nieprzyjaciel musi szturmu zaniechać.

— Im tam, generale, wszystko jedno. Już archiwa na Pragę wywożą. Warszawa przepadła!

— Co do krocset podpułkownik!!

— Bo tak! Nam każą zdychać a sami precz z parlamentarzami się prowadzają. Berg znów przyjechał!

Bema żgnęło. Chorzewskiemu kazał komendę artyleryi wziąć a sam, co koń wyskoczy, pogalopował wprost do Sejmu, do Zamku.

Tu szczęście Bemowi sprzyjało, bo w przedsionku spotkał Krukowieckiego z Prądzyńskim.

Jednym tchem rzucił Bem wiadomość o niedostatku amunicyi.

Krukowiecki jakby go nie słyszał. Prądzyński skrzywił się pobłażliwie.

— Są to pozory łudzącej przewagi. Byłem w kwaterze rosyjskiej, nawet mi oczu nie zawiązano. — Ośmdziesięciu pięciu tysiącom nie możemy się oprzeć we dwadzieścia!!



Generał pochylił się z konia ku celującemu wachmistrzowi.

— Lecz skoro dotąd nie przyjęliśmy rozejmu, więc...

— Uchwała zapadnie lada chwila...

— W niekorzystnych warunkach. Jeszcze cały dzień wytrzymamy! Amunicyi mamy zadość. A jeżeli Ramorino nadejdzie...

— Ramorino otrzymał rozkaz czekania w Kałuszynie — więc nie nadejdzie!!

— Generale! — Rozpoczęliśmy bitwę od odebrania czterech armat, mam pewność, żeśmy ranili feldmarszałka...

— I otóż kapitalne się stało głupstwo! Raniliście go w rękę i stąd w taką wpadł pasyę, że gdyby nie książę Michał, toby o układach słyszeć nie chciał...

— No ale generał przeprosiłeś go za płochość ogniomistrza...

— Nie potrzebuję zdawać generałowi sprawy!

— Do pioruna — nie takiego mniemałem doczekać się po panu kwatermistrzostwa!

— Nie jestem kwatermistrzem.

— Hrabio generale! — A pan — pan?! — Na Boga — toć nasi, nasi walczą o każdą piędź ziemi, giną... Jeden wyraz, jedno zawołanie władnem jest podwoić ich zapał, dać im wiarę, że istotnie mają coś do bronienia... Hrabio generale — toć jesteś prezesem Rządu, jesteś dyktatorem!

Krukowiecki utkwił wzrok w ziemię i odparł głucho.

— Podałem się do dymisyi.

XXV.

Noc zapadała przy huku armat, łunach pożarów i śmiertelnych zapasach walczących ze sobą wojsk.

Już nie na redutach, nie na szańcach, lecz na okopach warszawskich, na ostatniej ościeni, u wylotów ulic podrogatkowych trwał teraz bój, bój krwawy, morderczy bój. Bój fal nieprzebranych, łomoczących tysiącami ostrzy, kul, piersi ludzkich z broniącymi okopów upiorami. Bój potężnych, karnych, prowadzonych dzielnie a wymyślnie dywizyi ze szczątkami polskich brygad, z bezładnemi, potarmoszonemi kupami żołnierzów. Bój strategii, bój siły, potęgi z rozpaczą.

Z jednej strony sztab Tolla, ciżba czujnych dowódzców, generałów, świadomość ruchów, stopniowanie ataków, rezerwy, podniecanie ducha, karność — a z drugiej, z drugiej już ani odzewu bębna, ani sygnału trąbki, jeno mrok, ciemń, jeden szereg dla wszystkich rang, jedna szarża i dola jedna; z drugiej strony, poza tą wstęgą, płużącą krwią, poza Thermopylami, miasto wylękłe, klnące tych, co zań giną, no i sejm ciągle niezgodzony, no i most natłoczony gromadami uchodzących na Pragę patryotów, klubistów, mieszczuchow, ratujących worki złota, tchórzów wszelakich, nawet i co zabiegliwszych posłów.

Na warszawskich okopach żołnierze własnemi ciałami nowy budowali szaniec, na warszawskich okopach pulsa, serca zlewały się w pragnieniu wielkiem, świętem ofiarnem — a tam, w murach Warszawy, marne szalało kłopotarstwo, tam w murach Warszawy męstwo, dzielność polskich batalionów poczytywano za nieszczęście, za lekkomyślność, która mieszkańców przyprawi jeno o tem cięższą kontrybucyę, o rabunek, o rzeź może.

I pośród tego mrowia sobków była tylko garść takich, co darli się ku walczącym, co szli śmiało ku okopom, co nie baczyli na kule, na granaty, co nie uciekali. Imię tej garści było sieroctwo. Ono to w uniesieniu bolu szukało tej samej śmierci, co w żałobie je pogrążała. Ono oblegało ambulansowe wozy, ono miało i kubek wody dla umierających i ozwanie braterskie i posłuch na szept ubogich testamentów — ono jedynie nie pozostało głuchem.

O dziesiątej w nocy zaledwie armaty umilkły. Wojska szturmujące ustąpiły nieco i na odległość strzału karabinowego zaległy pod okopami.

Bem, który od strony cmentarza ewangielickiego dwiema bateryami trzymał w szachu cały korpus grenadyerski — odetchnął. Od godziny blisko gonił ostatkiem amunicyów — od godziny już tylko ośmioma armatami się opędzał. Dowóz nabojów ustał zupełnie. Ordynansi przepadali dotąd. Rozejm chwilowy zdał się Bemowi ocaleniem. Byle teraz dwie bateryе jeszcze wysunąć od lewego skrzydła — a tym zabezpieczyć spiżę — cha, to w pół godziny krzyżowym ogniem zmusi nieprzyjaciela do prawdziwego rozejmu.

Na ten koniec Bem, jeszcze pełen żaru bitewnego, ruszył do Dębińskiego. Dowódzca wolskiego skrzydła — sprawiał ład między niedobitkami brygady Bogusławskiego, w uliczce podokopowej.

Na pierwsze ozwanie się Bema, Dębiński targnął się desperacko:

— Ani mowy, generale! Niema nabojów, ładunków niema!

— Co, generał!

— Wywieźli zapasy już na Pragę! Arsenał główny do Modlina spławiają!

— Więc kapitulacya przyjęta, zatwierdzona?!...

— Wiem tylko, że w połowie dokonana!

(Dokończenie nastąpi).

Nowi posłowie z Galicyi do parlamentu.



Jan Kleski
Kołomyja.



Bernard Stern
Buczacz-Śniatyn-Zaleszczyki.



Włodzimierz Tetmajer
Kraków-Podgórze-Wieliczka.



Jan br. Goetz-Okocimski
Bochnia-Brzesko-Wiśnicz.



Józef Ptaś
Limanowa-Nowy Targ.



Antoni Lewicki
Kolbuszowa-Rzeszów.



Bronisław Osuchowski
Stary Sambor-Turka-Drohobycz.



Julian Romańczuk



Dr. Mikołaj Łahodyński
Dolina-Kałusz-Delatyn.



Władysław Serwatowski
Buczacz-Monasterzyska-Podhajce.



Dr. Lew Baczyński
Tłumacz-Stanisławów-Halicz



Dr. Stanisław Dniestrzański



Kazimierz Wysocki
Rawa Ruska-Uhnów-Żółkiew.



Włodz. de Schilling Siengalewicz
Złoczów-Busk-Olesko.



Dr. Longin Cegielski
Jarosław-Cieszanów.



Dr. Jan Michejda
Cieszyn-Jabłonków (Śląsk.)



Dr. Izydor Hołubowicz
Tarnopol-Zbaraż-Nowe Sioło.



Dr. Aleksander Kolessa
Trembowla-Mikulińce-Czortków.



Ks. Józef Londzin
Bielsko-Skoczów (Śląsk.)

Kronika tygodniowa.

Ponieśliśmy sromotną klęskę. Jest ona tego rodzaju, że wiadomość o niej kryją dotychczas galicyjskie dzienniki, obawiając się widocznie, aby ten grom nie wpłynął ujemnie na nasze już i tak zdenerwowane i zniechęcone społeczeństwo. Ale należy mężnie prawdzie spojrzeć w oczy.

Rzecz jest taka. Każdy dobry obywatel, któremu nie jest obojętną chwała narodu, a który trzyma palec na pulsie naszego życia, wie dobrze, a przynajmniej wiedzieć powinien, że w ostatnich czasach Europa (co do czterech innych części świata nie mam wiadomości) zwróciła swą baczną, nasyconą wysokim szacunkiem uwagę na krakowskie matche footbalowe i na stajnię książąt Lubomirskich, w której przyszła na świat i odebrała staranną edukacyę głośna na torach austryackich i rosyjskich, Lira. Zwycięstwo tej klaczy w Freudenau napawało nas niepłonną nadzieją, że w rosyjskiem derby zdobędzie ona wstęgę błękitną i przyniesie nową chwałę naszemu narodowi. Niestety, los zawistny nie dał nam dożyć tej pociechy. Dlaczego tak się stało, tłómaczy szeroko i długo ten *Kuryer warszawski*, który krótko i ciasno omówił sprawę bojkotu szkolnego. To samo dowodzi, jakie znaczenie przywiązywano do zwycięstwa Liry. „Oczekiwano — mówi *Kuryer* — bardzo wiele... spodziewano się, że wyścig będzie zdolny wyjaśnić, kto jest lepszy: Lira czy Floreal“. Podawszy szczegółowo przebieg zwycięstw i niepowodzeń Liry, przystępuje *Kuryer* do poważnego opisu „paddocku“. Wreszcie konie wyszły na start. „Naprężenie rośnie. Przy totalizatorach ścisk... ukazuje się nakoniec Lira, którą prowadzą w dużym odstępie od całej stawki. Nie spocona! lecz obsuszona do ostatnich granic. Na próbnym cantrze złe wrażenie robi akcya Floreala; istotnie galop syna Florizella nie należy do najlepszych. Lira galopuje lekko, ale... już spocona i to najgroźniej: na piersiach i pomiędzy zadniemi nogami. . Oczekiwanie staje się męką...“

Nie będę dalej streszczał zajmującego i fachowego artykułu. Przedłużałbym tylko „mękę“ czytelników, kreśląc bolesny przebieg klęski naszej „chwały“, która przyszła siódma na ośm biegających koni. Cios straszny, ale *Kuryer* pociesza nas, że jeszcze nie wszystko stracone. Lira niewinna, bo „doświadczeni trenerzy już przedtem byli zdania, iż klaczy tak bardzo krańcowo obsuszonej nie sposób utrzymać w tip top kondycyi, zwłaszcza podczas tropikalnych upałów“... Winno więc obsuszenie, winny i upały. Jak się Lira trochę pomokrzy, a upały ustaną — może klęska nasza powetowaną zostanie.

Mniej męczący przebieg miały wyścigi o wiceprezydentury na torze rady miejskiej krakowskiej. Zrazu, przed kilku miesiącami, zapowiadały się one bardzo interesująco. Mówiono, że będą startować radcy Federowicz, Bandrowski, Wassung, Doboszyński, Gertler, Sare. Wiadomo, że podczas wyboru prezydenta toczyły się już układy między „właścicielami“, t. j. klubem demokratycznym i klubem mieszczańskim, kto ma zdobyć wstęgę błękitną pierwszej wiceprezydentury. Później jednak wszystko się „pokiełbasiło“, a wybory do rady państwa najzupełniej zmieniły skład „stawki“. Pokazało się, że „krańcowo obsuszonych“ radców Federowicza i Doboszyńskiego nie sposób było „utrzymać w tip top kondycyi“. Cofnięto „zapisy“ r. m. Wasunga i Gertlera. Pozostał tylko ze „stawki“ r. m. Bandrowski, a do startu z nim stanął r. m. Szarski, który przedtem nie okazywał najmniejszej ochoty do biegania. Bandrowski jednak nie był w formie, stąd r. m. Szarski przyszedł pierwszy o długość 21 radców. Również łatwo w biegu o drugą wiceprezydenturę stanął pierwszy u mety r. m. Sare. Klęska ta doprowadziła klub demokratyczny do rozpaczy i obstrukcyi. Niema nic zabawniejszego nad to, jak klub ów za wierną służbę został wystrychnięty na dudka.

Nowy, a raczej odnowiony p. wiceprezydent Szarski powiedział przy tej okoliczności ładną mówkę, w której politykę nazwał pyłem pustynnym, wciskającym się w każdą szczelinę życia publicznego i obiecał, że naporowi tego pyłu będzie starał się nałożyć hamulec, aby do szczelin rady miejskiej wciskać się nie mógł. Co prawda pyłu tego było za dużo, a i szczelin w radzie miejskiej jest za wiele.

Klęska Liry i r. m. Bandrowskiego schodzi się z klęską syonistów, jaka ich spotkała w trybunale państwowym w Wiedniu. Podawali oni przy spisie ludności żargon żydowski jako swój język towarzyski, za co skazani zostali na kary pieniężne, ponieważ rząd żargonu za język nie uznaje. Niezadowoleni z tego obrotu rzeczy, wnieśli liczne zażalenia przed trybunał państwowy, który ich ze skargami oddalił. Nie pomogły dowodzenia, że żargon ma swoją obfitą literaturę.

Szczegółowego umotywowania wyroku trybunału państwowego nie znamy, ale przypuszczać należy, że trybunał wziął pod uwagę tak rozmaitość żargonów, jak i to, że żydzi niemieccy, francuscy i t. d. całkiem go nie znają. Sami żydzi (mówimy o inteligencyi) starają się udowodnić, że żargon jest dawnym językiem średnio górno niemieckim. W przedmowie do przekładu utworów żargonowych na język niemiecki, wydawca berliński (żyd) pisze: „Dopiero wielki sukces dramatu „Bóg zemsty“ spowodował przeczucie (?) tego zawieruszonego zabytku języka średnio-górno niemieckiego... który się przechował na wschodzie Europy, pomięszany z innemi narzeczami“. Rzeczą lingwistów sprawdzić, o ile prawdziwem jest owo źródło żargonu, ale jakiem jest owo „pomięszanie z innemi narzeczami“, tego dowodem kilka zdań przytoczonych przez *Jedność* lwowską. Oto jedno z nich: „Dy wiewiórkie gryziet di kore fin dy sosne“, albo drugie: „Der woźny wrenczen den pozew, wen der sędzie wet weznaczen a termin fur dy sprawe“. Oczywiście że *Jedność* przytoczyła najwięcej rażące przykłady, ale że takie być mogą, to już wzbudza wielką wątpliwość, czy jest to język średnio górno niemiecki, jakim niegdyś w Niemczech mówiono. Co ważniejsza, owe przytoczone zdania żargonu żydów polskich, nie byłyby całkiem zrozumiałe dla żydów rosyjskich. Natomiast żaden żyd galicyjski nie zrozumie całych zdań i ustępów żargonu żydowsko rosyjskiego. Oto jego próbki: „Uf dy osnowanie fun dy prysustwe fun sud hot der prystaw razrieszajet“ i t. d. — albo: „Der dokład fun pismowoditiel swabszczajet uns az der prikazczyk hat den zakaz połuczet un der naczalnik hot dy nastojaszczoje żałobe nyt prinimajet“. Nie prawdaż, że to świetna próbka zabytku języka średnio górno niemieckiego, a zarazem jaskrawy dowód, że żargon nie jest językiem żydowskim, lecz wytworem lokalnym, gwarą zrozumiałą tylko w jednym kraju, w jednej okolicy. Zapewne w dawnej Polsce te gwary lokalne były bardziej zbliżone, dziś oddaliły się od siebie: wpływ języka polskiego odbija się olbrzymio w naszych granicach etnograficznych, a w ziemiach litewskich i ruskich uległ wpływowi języka rosyjskiego. Musiał trybunał państwowy coś o tem wiedzieć, kiedy nie uznał żargonu za język „narodu“ żydowskiego. Zresztą konia z rzędem żydowi francuskiemu lub niemieckiemu, któryby zrozumiał ową „wiewiórkę“ która „gryziet sosne“, lub owego „prystawa“, który „razrieszajet“.

Nie miał szczęścia żargon żydowski w Wiedniu, niema go również pomnik Kościuszki w Krakowie. Kazano go usunąć z dotychczasowego schowku, więc Komitet prosił, aby go umieszczono na składzie w barbakanie. Zarząd barbakanu, to jest dyrektor Muzeum narodowego, prośbie tej odmówił ze względu na bezpieczeństwo barbakanu. I panoramy Styki (pomijając względy inne) nie pozwolono umieścić w barbakanie również ze względu na niebezpieczeństwo grozić mu mogące. Tylko wówczas było niebezpieczeństwo... ognia a teraz zawalenia się. Dyrekcya Muzeum, która tak kochała barbakan, że mu „ubliżyć“ panoramą nie chciała, która otoczyła ten „jedyny zabytek“ na ziemiach polskich ogromnym pietyzmem, przyznaje, iż fundamenta barbakanu są zgniłe, że ten „wspaniały unikat“ ledwie się trzyma, że stan jego jest groźny. Dowiadujemy się więc ładnych rzeczy. Gdzież się zatem podział ów pietyzm znawców sztuki, konserwatorów, „mężów kultury“, kiedy obojętnie spoglądają na grożącą temu zabytkowi ruinę. Blisko dwa lata dobiega od czasu, kiedy z powodu projektu Styki osobna komisya oglądała barbakan i zauważyła, iż ząb czasu silnie go dotknął. Wówczas Styka oświadczył, że przyjmuje na siebie koszta połączone z utrwaleniem tych części murów, na których opierać się miała panorama. W ten sposób panorama byłaby się przyczyniła do częściowego „uzdrowienia“ barbakanu. Ale odrzucono tę ofertę, poczem przez dwa lata lekarze zabytków nie zapisali ani jednej recepty choremu barbakanowi, a dziś spokojnie „konstatują“ fakt, że nietylko mury barbakanu wymagają kuracyi, ale że jego fundamenta skutkiem podmycia są osłabione, zgniłe — że wogóle chory znajduje się w stanie bliskim agonii. Przypuszczać należy, że szanowni kulturalni konsyliarze nie poprzestaną na samej tylko dyagnozie, ale wynajdą środki zaradcze, aby powrócić zdrowie czcigodnemu pacyentowi.

Innego rodzaju lekarze uznali w Rzymie, iż niedomaga przemysł katolicki, który z powodu wielkiej liczby świąt, nie może wytrzymać konkurencyi z przemysłem krajów niekatolickich. Mają przeto odpaść wszystkie „święta kościelne“, a znaczna część świąt ruchomych przeniesiona zostanie na niedziele. Prócz tego święta Bożego Narodzenia, Wielkanocy i Zesłania Ducha św. z dwu dni zredukowane zostaną do jednego. Czy reforma ta obejmie w równej mierze wszystkie kraje katolickie, czy też uwzględni stosunki lokalne, jeszcze nie wiadomo. Przeciw rozporządzeniu papieskiemu objawiła się już opozycya w Bawaryi, gdyż organ centrum *Bayrischer Courier* zaznacza, iż w katolickich częściach Niemiec z wielkim bólem przyjętoby niektórych świąt zniesienie. Przypuszczam, że i u nas niemiłeby przyjęto ograniczenie świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Pomijając tradycyę, a i ta przecież coś waży, oba te święta są jedynem dłuższem wytchnieniem dla ludzi pracy. Już na parę tygodni przed ich terminem każdy prawie cieszy się, że będzie miał dwa dni „wolne“, które spędzi w gronie rodziny i przyjaciół. O kilkadziesiąt mil nieraz jadą wówczas ludziska do „swoich“, dzieci do rodziców, bracia do sióstr, przyjaciele do przyjaciół, nawet znajomi do znajomych. Przy „opłatku“ i „jajku święconem“ schodzą się nieraz ludzie, którzy kiedyindziej zejść się nie mogą, pochłonięci pracą na kawałek chleba i interesami. Są to święta rodzinne, towarzyskie, przyjacielskie w całem tego słowa znaczeniu. Nie brak im nieraz poezyi, szczerych wzruszeń. Są to jedyne prawdziwe święta i jedynie podczas nich świętujemy, bo niedziela to zwykły, stale się powtarzający chwilowy odpoczynek. Więc żal byłoby tych dni, z których nadejścia cieszą się starcy, „średniowieczni“, młodzi i dzieci, zamożni i biedni (nie wspominam bogaczy, bo ci zawsze świętować mogą), a zwłaszcza ludzie ciężkiej pracy, z wieczną troską o jutro.

A i ów przemysł, wątpię, aby co zyskał na zniesieniu drugiego dnia tych dwu świąt największych, boć przecie każdy wie, że czas „przedświąteczny“ to tłuste dni dla wszelkiego handlu a więc i przemysłu. W tych dniach obrót z jednego tygodnia w każdym prawie sklepie i sklepiku jest większy, niż zwykły obrót z całego miesiąca. Prawie wszystkie gałęzie rzemiosł i rękodzieł osiągają wówczas największe w ciągu roku zyski. A jaki ruch panuje wśród przekupniów, ile pieniędzy na targach wpływa do kieszeni włościańskich! Nawet wydawcy dzienników mają wówczas weselszą minę, bo obfity plon zbierają z ogłoszeń. I chudemu literatowi łatwiej wówczas, jeżeli nie o dostanie zaliczki, to przynajmniej o odbiór honoraryum z chorej na goliznę administracyi.

A więc kochani czytelnicy, przyłączcie się do mnie i proście o powstrzymanie „ujednodniowienia“ Bożego Narodzenia i Wielkanocy. A i wy nadobne a niezamężne czytelniczki pamiętajcie, że w tych dniach nietylko najłatwiej się z „nim“ spotkać, pogadać i porozumieć co do „poważnych“ zamiarów, ale często się zdarza, że w tych dniach na zebraniach towarzyskich „dusze wzajemnie się poszukujące“ po raz pierwszy mają sposobność odnaleść się i zaznajomić.

P. s. W górę serca! Zacząłem wiadomością o klęsce Liry, kończę wieścią o zwycięstwie jej towarzysza stajni, a zapewne i bliskiego krewnego Łoma. Zdobył w Anglii 1000 funtów szterlingów. „Ciesz się Warszawo, Polsko ciesz!...“

Pieszo z Warszawy do Galicyi.

(Do illustracyi na str. 8).

Korzystając z wakacyi, wybrało się niedawno grono młodych ludzi, uczniów szkół warszawskich, pod kierunkiem jednego z nauczycieli, na wycieczkę pieszą z Warszawy do Galicyi. Oczywista rzecz, że skierowano się po zwiedzeniu miejscowości, leżących po drodze, do Krakowa, który był właściwym celem pouczającej wycieczki.

Sympatyczni turyści zabawili w Krakowie kilka dni, poczem ruszyli w dalszą drogę do Zakopanego. Rycina nasza przedstawia ich w strojach turystycznych podczas pobytu w Krakowie.

Zgon wybitnego finansisty.

(Do illustracyi na str. 4).

W sędziwym wieku, bo przeżywszy 83 lat, rozstał się z tym światem jeden z najwybitniejszych naszych finansistów, ś. p. Albert Mendelsburg, człowiek wielkiej prawości charakteru, ogromnie pracowity i zasłużony, stąd też popularny i ogólnem otaczany poważaniem.

S. p. Albert Mendelsburg był założycielem i szefem a następnie współwłaścicielem znanego domu bankowego, po za pracą zawodową jednak poświęcał wiele czasu sprawom publicznym, w których brał żywy udział. Należał do organizatorów krakowskiej rady miejskiej i zasiadał w niej bez przerwy aż do ostatnich wyborów. Jako członek sekcyi skarbowej rozwijał bardzo skuteczną działalności zwłaszcza w czasach, gdy był jej przewodniczącym.

Należał dalej ś. p. Mendelsburg do założycieli Kasy oszczędności m. Krakowa i pełnił obowiązki prezesa komisyi kontrolującej. Przyczynił się nie mało do założenia w Krakowie Akademii handlowej i był jej kuratorem. Bardzo poważną była jego działalność w krakowsklej Izbie handlowej i przemysłowej, na której czele stał przez szereg lat jako prezydent i którą przez jedną kadencyę reprezentował w radzie państwa.

W ostatnich latach z powodu podeszłego wieku nie brał prawie żadnego udziału w życiu publicznem i usunął się w zacisze domowe. Smierć ś. p. Mendelsburga osieroca wdowę oraz dwu synów, radcę dworu dra Leona i szefa domu bankowego Zygmunta.

Zmarły pozostawił po sobie pamięć człowieka zacnego i wielce zasłużonego a tłumny udział publiczności krakowskiej w oddaniu mu ostatniej posługi był dowodem sympatyi, jaką się w szerokich kołach Krakowa cieszył.

Zgon b. dyrektora kolei.

(Do illustracyi na str. 10).

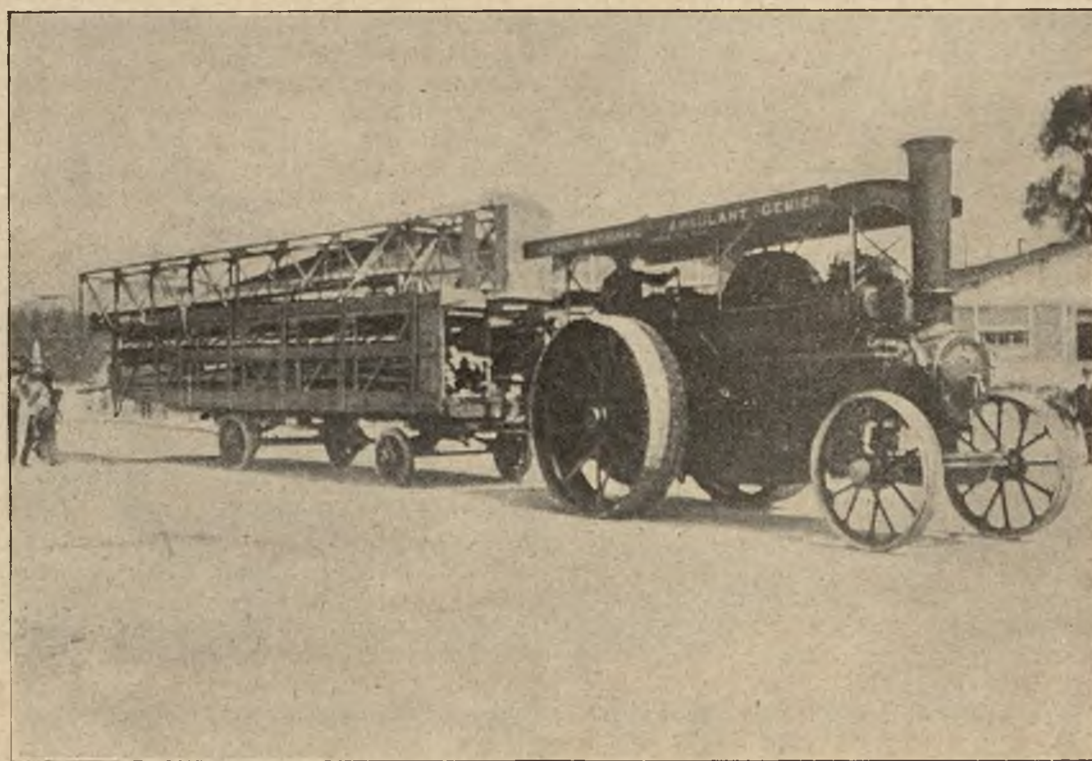
W ubiegłym tygodniu zmarł w Zakopanem ś. p. Gerard Cezar Festenburg, były dyrektor kolei państwowych w Stanisławowie. Mimo imienia i nazwiska o obcem brzmieniu był ś. p. dyrektor Festenburg szczerym Polakiem, a jako urzędnik, a następnie szef dyrekcyi siłą bardzo dzielną.

Z powodu charakteru niezwykle łagodnego, cieszył się ś. p. Festenburg wielkim mirem wśród urzędników podwładnych; w ostatnich latach urzędowania swego doznał wiele przykroś i, głównie z powodu nadużyć, popełnionych w dyrekcyi stanisławowskiej, a zakończonych pamiętnym procesem. Zniechęcony tem, a nadto znużony wieloletnią pracą, usunął się ś. p. Festenburg przed kilku laty na emeryturę i po dłuższej słabości zmarł w Zakopanem.

Nowoczesny teatr wędrowny.

Staraniem znanego francuskiego aktora Gemiera, dyrektora teatru wolnego Antoine'a, od kilku zaś lat kierownika „Odeonu", powstał w Paryżu teatr nazwany: „Wędrownym teatrem narodowym". Gemier utworzył do tego celu towarzystwo akcyjne z kapitałem przenoszącym pół miliona franków, nabył dziesięć lokomobil i 37 wozów, skonstruował także nowoczesną rozbieralną salę teatralną. Ten ogromny tabor ma codziennie przejeżdżać gościńcem dziesięć kilometrów.

W ubiegłym tygodniu podziwiali go paryżanie na placu Inwalidów. Jest to olbrzymi namiot, mający 42 m. długości a 24 m. szerokości, na całe zaś płócienne jego pokrycie zużyto 2400 metrów kwadratowych grubego płótna żaglowego. Pomysłowa konstrukcya, którą obmyślili inżynierowie Cottereay i Febvré-Moreau pozwala na zapakowanie pudeł lożowych na niewielu stosunkowo wozach; widownia pomieścić może ogółem 1650 osób. Nad głowami publiczności rozciąga się opona barwy pomarańczowej, ozdobiona girlandami kwiatów, ściany boczne pokryte są dywanami. Purpurowa zasłona odgradza scenę, mającą siedm metrów szerokości,



Nowoczesny teatr wędrowny: Wóz rekwizytowy ciągniony przez lokomotywę drogową

a dziesięć głębokości. Jest ona wyposażona we wszystkie najnowsze zdobycze techniki teatralnej. Lokomobile dostarczają elektryczności i zasilają światłem dwa tysiące lamp we widowni i tysiąc trzysta na scenie.

Trzy wielkie, biało malowane wozy służą jako garderoba dla artystów i artystek. Jeden przeznaczony jest dla płci pięknej, drugi dla brzydkiej, w trzecim mieszka Gemier z żoną. Tutaj znajduje się także kancelarya dyrekcyi. Nie zapomniano też i o bufecie; w jednym z wagonów urządzono bar amerykański. Cały personal teatralny liczy sto osób z górą.

Repertuar obejmuje szereg utworów klasycznych i nowoczesnych. Ceny miejsc są tanie, wynoszą bowiem od półtora franka do pięciu.

Ponieważ rozpięcie i urządzenie widowni i sceny wymaga dwadzieścia godzin czasu, posiada Gemier



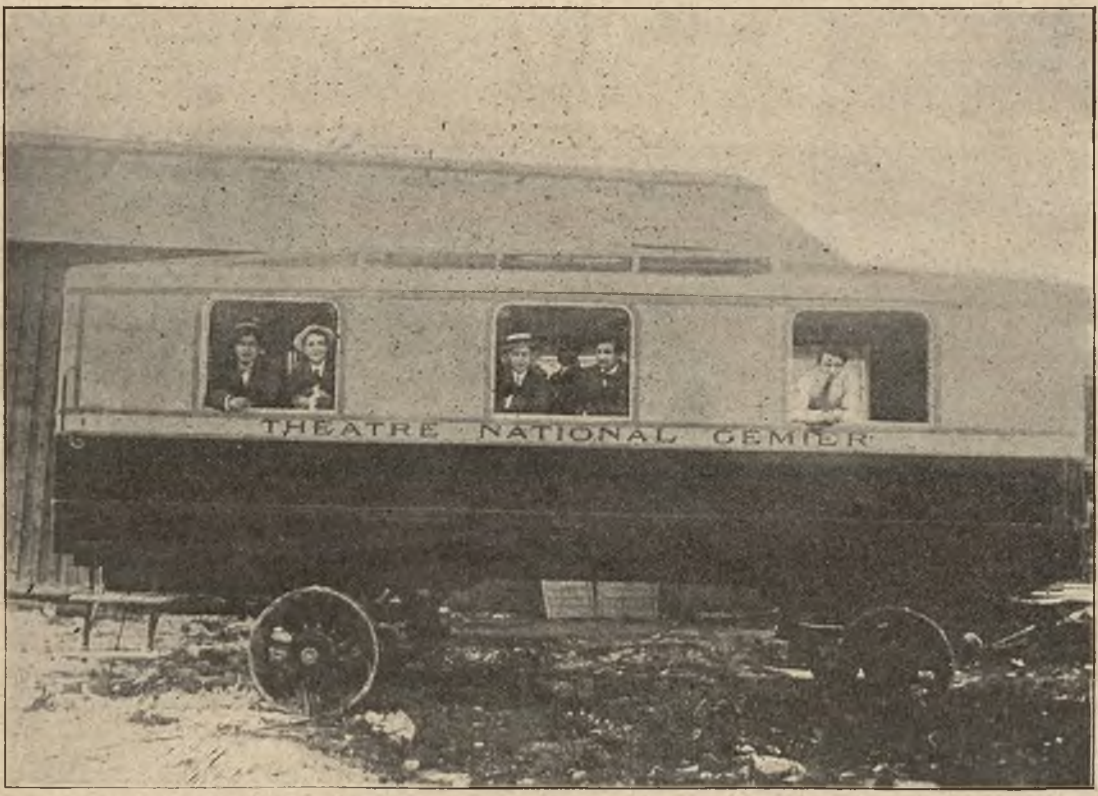
Wizyta biskupa w Sosnowcu: J. Eks. ks. biskup A. Nowowiejski z Płocka w otoczeniu duchowieństwa i inżynierów kopalni „Saturn". Fot. A. Czarnomski, Sosnowiec.



Otwarcie XI. Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich: Przewodniczący komitetu gospodarczego prof. dr. Julian Nowak.

dwa namioty, które naprzemian idą naprzód o jeden etap i czekają na przybycie trupy w zupełnem pogotowiu.

Prasa angielska rokuje przesiębiorstwu powodzenie już choćby tylko dlatego, że w każdem mieście niezwykła ta nowość zwabi dość widzów nawet takich, którzy nie bardzo chętnie spieszą do zwyczajnego teatru.



Nowoczesny teatr wędrowny: Wóz, przeznaczony na mieszkanie dla artystów.

Wizyta biskupa w Sosnowcu.

W Sosnowcu bawił przed paru dniami J. E. ks. Antoni Nowowiejski, biskup płocki, w przejeździe z Hiszpanii do swej dyecezyi. Duchowieństwo miejscowe i z okolicy witało swego zwierzchnika bardzo uroczyście, a także ludność miejscowa pospieszyła tłumnie na dworzec kolei warszawsko wiedeńskiej, by uczcić swego arcypasterza.

Po przywitaniu na dworcu udał się ks. biskup na plebanię sosnowiecką, gdzie proboszcz miejscowy ks. Jan Białecki podejmował z wielką gościnnością dostojnego gościa i grono duchowieństwa oraz wybitnych osobistości.

W czasie pobytu w Sosnowcu zwiedził J. E. ks. biskup Nowowiejski znaną tamtejszą kopalnię „Saturn“. Kierownicy kopalni oprowadzali ks. biskupa po całej kopalni, oraz po jej podziemiach, udzielając potrzebnych wyjaśnień.

Zdjęcie nasze przedstawia właśnie ks. biskupa Nowowiejskiego w otoczeniu duchowieństwa, oraz inżynierów kopalni „Saturn“ w Sosnowcu.

Otwercie XI. Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich.

Od kilku dni podejmuje Kraków w swych murach miłych gości. Z całego kraju i zagranicy zjechali się w starym grodzie Krakusowym lekarze i przyrodnicy, aby odbyć tutaj swój jedenasty wspólny Zjazd, pospieszyli nań także delegaci świata lekarskiego czeskiego, ruskiego, rosyjskiego, słowańskiego i chorwackiego. W ścisłym związku ze Zjazdem stoi wystawa zdrojowisk, uzdrowisk i zakładów leczniczych polskich, urządzona staraniem Tow. balneologicznego, oraz wystawa farmaceutyczna.

We wtorek dnia 18 lipca odbyło się uroczyste otwarcie Zjazdu w sali starego teatru. Piękna sala zaledwie mogła pomieścić uczestników, na galeryi zajęły miejsca damy. Przybyli między innymi ks. biskup Nowak, szef sekcyi w ministerstwie oświaty dr. Ćwikliński, delegat Fedorowicz, wiceprezydent miasta Szarski, rektor Zoll i Witkowski, delegaci Wydziału krajowego dr. Pilat i dr. Bernadzikowski i wielu innych.

Zjazd otworzył powitalną mową przewodniczący komitetu gospodarczego, profesor dr. Julian Nowak wyrażając ubolewanie, iż z powodów od komitetu niezależnych, nie można go było urządzić w Warszawie. Następnie poświęcił żałobne wspomnienie zmarłym w ostatnim okresie lekarzom i badaczom polskim i omawiał ścisłą łączność wiedzy lekarskiej i badań przyrodniczych z narodem, który chce żyć i rozwijać się. Okrzykiem na cześć cesarza zakończył mowca oficyalną część, poczem powitał obecnych dostojników, delegatów i przedstawicieli zagranicznych korporacyi lekarskich. Przy powitaniu delegata rosyjskiego zabrzmiały na sali gromkie oklaski.

Przemawiali następnie: J. E. Ćwikliński, dr. Bernadzikowski, dr. Szarski, dr. Lachowicz, dr. Zoll, dr. Witkowski dr. Hlava, dr. Ozarkiewicz, dr. Skalczic i prof. Bechterew.

Po odczytaniu składu delegacyi i nadeszłych telegramów przystąpiono do wyboru prezydyum Zjazdu, na zakończenie zaś wygłosił prof. dr. Romer ze Lwowa odczyt naukowy „O krajobrazie“.

Kurs przemysłowo-kupiecki.

W krakowskiej szkole przemysłowej odbywa się obecnie trzytygodniowy kurs przemysłowo kupiecki, przeznaczony dla nauczycieli szkół ludowych z Galicyi, mających pracować w t. zw. uzupełniających szkołach przemysłowych. Dzięki subwencyi Wydziału krajowego można było uczynić zadość liczniejszej ilości zgłoszeń, niż pierwotnie zamyślano i przyjęto ogółem 56 słuchaczów, których następnie podzielono na dwa oddziały. Kierownictwo kursu spoczywa w ręku dyrektora szkoły przemysłowej radcy dra E. Bandrowskiego.

Zakończenie kursu nastąpi w dniu 23 lipca.

Zdjęcie nasze przedstawia grupę frekwentantów kursu z nauczycielami i dyr. dr. Bandrowskim w pośrodku.



Kurs przemysłowo-kupiecki: Frekwentanci kursu, nauczyciele galicyjskich szkół ludowych i wydziałowych, wraz z docentami i dyrektorem drem E. Bandrowskim. (X)

Rozwiązanie zagadek z Nr. 27.

Szarada: Karabin.

Kwadrat magiczny:

B
M a k
B u r a k
K l e c h d a
B a r c e w i e z
B a r w n i k
B l i n y
A c h
Z

Zadanie konikowe:

Idź dobrym ludziom do ręki
Zbiorku sierocych dum mały,
Myśli, westchnienia, piosenki.
Co już po świecie latały.
I wy dawniejszych dum świadki,
Które trzymałem w ukryciu,
Idźcie do jednej gromadki
Na nowo wskrzesłe ku życiu.
(Syrokomla „Wstęp do piosnek“).

Logogryf:

K o p i a
S a r n a
H y z o p
K r e p a
L i m a n
K r y p a
K o ś c i
L e l e k
K w a r c
L a n c a
S z y c h

Zagadka: Płotka.

Zadanie do przestawienia: Nie odrazu Kraków zbudowano.

Szarada: Balkon.

Zadanie do przestawienia: Gospodyni wesoła, gdy ma gości dokoła.

Zadanie do przestawienia: Kto łże, tem wisi

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O Górkowa Chyrów, W. Ossowski Warszawa. A. Biliński Tarnopol, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Lipski Kraków, H. Bernstein Warszawa. J. Frankowicz Jasło, W. Hołubasz Stanisławów, D. Sedyńska Zakopane. Cz. Lipiński Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Knapik Tarnopol, J. Kopczyńska Bierzanów, I. Brzostowski Krosno, J. Strojek Podgórze, M. Wojkowski Tarnopol, M. Lewicka Kraków, Z. Radziński Rzeszów, M. Więckowska Warszawa, W. Bandrowski Częstochowa, J. Świrski Sambor, M. Kwaśniewski Skierniewice, J. Czarkowski Stryj, K. Michalski Jaworów, D. Łapiński Kraków, R. Dąbrowski Janów, A. Pankowski Zakopane, A. Trzeciak Tryest, J. Czernecki Złoczów, K. Armatys Kołomyja, J. Radoszewski Mielec, J. Ryś Rzeszów, M. Gruszczyńska Sambor, J. Stępień Budapeszt, K Schmidt Lwów, W Laurecki Rzeszów, J. Lemiszewski Stanisławów, M. Antosz Kołomyja, W. Włodek Warszawa, K Darowski Skierniewice, M. Kalinowska Sambor, H. Rosenbaum Mielec, S. Kaniowski Tarnobrzeg, J. Leszczyński Sanok, W Thun Radom, J Wojciechowski Sanok, Z. Kisielewski Jasło, K. Armatowicz Petersburg, K. Gliński Kołomyja, S. Hubaczek Tarnopol, H. Bielawska Radomyśl, M. Potocka Kraków, J. Jahoda Cieszyn, H Piątek Podwołoczyska, K. Wilczkiewicz Sandomierz. W. Radwański Warszawa, M. Kruszelnicka Tarnów. J. Klappholz Rzeszów, K. Ciszewski Radomyśl, S. Dzierzyński Zakopane, M. Zięba Sanok, J. Łopatkiewicz Jasło, M. Pick Łódź, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, J. Popiel Rzeszów, J. Łopatyńska Lwów, H. Zielińska Rzeszów, W Dziedzic Kraków, A. Augustynowicz Kraków, B. Michalec Świątniki, K. Zerygiewicz Stanisławów, W. Kaliszewski Petersburg, M. Ciesielski Poznań. K. Lisowski Kołomyja, M. Sontag Piotrków, K. Sadowska Warszawa, J. Malinowska Winnica, R. Czechowicz Tarnów, D. Krasowski Poznań, S. Krogulski Warszawa, W. Lipowski Jasło, H Gromnicka Lwów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnobrzeg, S. Bukowski Kijów, H. Maciejowska Sanok, K. Trojacki Wiedeń, L. Sapecki Szczawnica. J. Karaś Zakopane, W. Urban Lwów, J. Ostrowski Czerniowce, H. Lindenbaum Stanisławów, R. Ohrenstein Lwów, F. Jeziorski Krynica, S. Krzyżanowski Podgórze, K. Ceglecki Lwów, F. Horak Oświęcim. T. Nikiel Wiedeń, K. Broda Drohobycz, A Serwatowska Warszawa, J. Przeworski Toruń, M. Arbesbauer Lwów, I. Brajerówna Borysław, P. Sztefek Lwów, K. Fuchs Czeremehów, K. Kaim Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Dzierzyński, Zakopane.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Na 501. rocznicę „Bitwy pod Grunwaldem“ wydane zostały nowe artystyczne pocztówki „Królowa Jadwiga“ i „Bitwa pod Grunwaldem“ Jana Matejki, nakładem Jana Paulego w Krakowie. Klisze wykonano w pracowni p. Jabłońskiego, drukowano w Związkowej drukarni.

Piękne te pocztówki poleca się jako miłe wspomnienie z historyi naszego narodu!

Ze świata kobiecego.

Suknie letnie.

Lato ze swem tłem zielonem, przystosowującem się do wszystkich kolorów, pozwala na stosowanie w toalecie damskiej barw jasnych, nieraz nawet krzyczących, które raziłyby w szarych ramach zimy, lub w różnobarwnych od dywanów i obrazów salonach. W blasku słońca, w cieniu lasów, na kobiercu łąki, lub na tafli morza, każda jasna toaleta, pozwalająca promieniom słonecznym grać przeróżnymi tonami, harmonizuje się z całością. Najpiękniej jednak wystąpi zawsze barwa biała. Kostiumy *tailleur* z szewiotu, sukna, płótna, piki; suknie lekkie z batystu, muślinu, linou, fularu, tak u starszych, jak młodszych kobiet, stanowią zawsze najelegantszy sposób ubrania. Panie, które mając kilka toalet białych, chcą przywdziewać i inne, chętnie wybierają materyały w tonie zboża, lub tak zwanej barwy *bis*, ton szarawy z odcieniem ciepłym. Nad brzegiem morza, szczególniej u pań lubiących ubierać się poważnie, widuje się często suknie, mające w swej



Kapelusz ze słomki *vieux-rose*, przykryty irlandzką koronką, przybrany szeroką wstęgą morową w barwie *vieux-rose*.

barwie coś z surowości popiołu i ciepła płomienia. W tonie tym widuje się nietylko suknie, ale kapelusze, buciki, parasolki i pióra.

Noszonym też jest bardzo kaszmir indyjski tak na kostyumy, jak i na skromne sukienki, które wkłada się wówczas, gdy jedwab, lub nawet francuski batyst jest za strojny. Bywa on najczęściej w paseczki niebieskie lub czarne, niewyraźne, złożone z dwóch nitek, przetykanych nicią tła. Widuje się też czarne paski, również lekko znaczone, lecz na centymetr szerokości na tle *vieux bleu*, *vieux rose*; paski koloru brzoskwiniowego na białem tle; zielonawo żółte z czarnem; mchowe z szarymi, nie warowe z niebieskimi i t. d. Równie noszone są materyały podszewkowe, w których kolory szare, granatowe, zielone, bordo, mają drugą stronę w barwie niebieskiej, pomarańczowej, lila, różowej itd. Dzięki temu można bez kupowania kosztownych dodatków, niezmiernie urozmaicać toalety.

Podobnie niekosztownem a bardzo urozmaicającem suknie w paski jest aplikowanie materyału w rozmaitym kierunku, tak aby na paskach prostopadłych kładzione były paski podłużne. Moda ta spowodowała, że nawet materyały niezmiernie lekkie, jak woale i etaminy, bywają drukowane w paski, tak ciemne na jasnem tle, jak jasne na ciemnem.

Niezmiernie modne są grochy na lekkich materyałach czarnych, haftowane i obwiedzione kręgiem kolorowym. To samo stosowane bywa przy kwadratach. Bardzo ładnem i modnem jest łączenie koloru żółtego i pomarańczowego z białym; czasem przeważa kolor biały, czasem żółty; koronki i lekkie hafty, rzucone na żółte lub pomarańczowe tło, dadzą zawsze całość ładną, co więcej będzie to miało tę dodatnią stronę, że kombinacya ta nigdy nie stanie się pospolitą, gust bowiem osób niedystyngowanych cofa się zawsze przed kolorem żółtym, który wydaje im się zbyt pospolitym.



Suknia z białej liberty. Tunika z niebieskiej gazy, haftowana srebrem, jedwabiami i gwiazdkami w dwóch tonach niebieskich i szafirowym. Kapelusz z białej tagali, podbity szafirowym aksamitem, opasany srebrną aplikacyą.

Suknie z białego haftu noszone są bardzo w tym roku. Prawie każda elegantka zabiera z sobą choć jedną, urządzoną w ten sposób, aby zastępowała dwie toalety. W tym celu zabierają z niemi dwa szkice, jeden biały, drugi kolorowy, oraz dwa pasy z tafty, jeden z białej, drugi z mieniącej w tonie szkicu, które naprzemian przyszywa się na dole sukni. Dostosowuje się też odpowiednie żuawki.

Do białych sukien nosi się często czarne kapelusze, przy powyższem zastosowaniu bardzo ładnem będzie dodanie *chou* z tafty koloru dołu sukni i żuawki. Żuawki te robi się z rękawkami kimono, lub bez nich, miewają też baskiny przy wysokim stanie, lecz nie sięgające poniżej pasa. Guziki dodaje się zazwyczaj obciągnięte materyałem lub z perłowej masy.

Koronka siatkowa, niegdyś bardzo droga, teraz zastępowana świetnie imitacyą, jest ogólnie stosowana przy letnich toaletach, prawdziwie elegancka tylko wówczas, gdy ma ton i matowość pergaminu. Toalety strojne, na uroczystości weselne n. p., przybierają często siatką z paciorek, zwanych „kroplą mleka“ *(gouttes de lait)*. Wygląda to wspaniale i niezmiernie strój podnosi.

Bardzo ładną nowością są kapelusze noszone u wód i nad morzem, z białej błyszczącej skórki, do twarzy każdej młodej kobiecie. Przybiera się je dwoma płaskiemi piórami, lub paletami z tejże skóry, obwiedzionej aksamitem kolorowym, opasuje się galonem lub złotym sznurem.

Moda urozmaicania wszelkich szczegółów toale-



Kapelusz z blado-lila włosia, podbity ciemno-fiołkowym aksamitem, przybrany lila jedwabiem, winogronami zielonemi i fiołkowemi oraz liśćmi w dwóch tonach.

towych sprawiła, iż po większych sklepach sprzedają parasolki, które do jednej pięknej rączki i doskonałego rusztowania drucianego mają kilka jedwabnych pokryć; w ciągu kilku minut dadzą się one zgodnie z kolorem sukni do drutów parasolki przystosować. Inne znowu elegantki, posiadając kosztowną rączkę, przyśrubowują ją do różnych parasolek.

Tak przeto, przy dzisiejszem gorączkowem dążeniu do urozmaicenia i wzbogacenia strojów, wynaleziono sposoby czynienia tego bez przeładowywania szaf szczegółami toaletowymi, bo wiadomo, że „te boginie, (jeśli która chłopca chce) na sposoby biorą się“. *Ramo.*

PARYSKIE GADY.

66

Twarze ajentów zajaśniały radością.

— A ten, kto schwyta lub każe aresztować uciekiniera, dostanie sto tysięcy nagrody.

Na twarzach ajentów zamalował się teraz wyraz chciwości.

— A teraz w drogę! — zakończył złodziej. — Dewizą waszą niech będzie dewiza waszych ajencyi: pospiech i dyskrecya.

Nie minęła jeszcze godzina od tej przemowy, gdy detektywi przeszukiwali zawzięcie góry. Panajon zresztą dawał im z siebie przykład. Nocy jednak poprzedniej spadł ulewny deszcz i zmył zupełnie ślady uciekiniera. Dopiero w pięć dni później odkryto, iż Duret przebywał w małem hiszpańskiem miasteczku koło szczytu górskiego Larratecoheguya.

Panajon uścisnął rękę detektywa, który przyniósł mu tę wiadomość i rzekł:

— Bardzo pięknie! Chociaż nie zdobyłeś sobie jeszcze nagrody stu tysięcy franków, zasługujesz jednak na pochwałę. Mianuję cię księciem Larratecoheguya i przyznaję ci gratyfikacyi pięćset luidorów.

I dał uszczęśliwionemu ajentowi dziesięć tysiącfrankowych banknotów, którymi Lewis Jackson wypchał jego portfel.

Trochę dalej w Bidarray drugi detektyw dowiedział się, iż Duret zatrzymywał się w tem miasteczku i zgolił sobie faworyty. Nędznik chciał widocznie zmienić wyraz swej twarzy. Wiadomość ta była bardzo cenna. Panajon tego, który mu ją przyniósł, nagrodził uściskiem dłoni, mianowaniem go księciem Abaraccobarria od szczytu góry, pod którą leżało Bidarray i taką sumą, jaką otrzymał jego kolega.

Detektywi uwielbiali tego nowego swego szefa, którego dobry humor i szczodrość olśniewała ich. Rywalizowali z sobą w gorliwości. Ślad doprowadził ich aż do oceanu, o trzydzieści kilometrów na północ od Hendaye, na piaszczyste wybrzeża, zarośnięte gęstym sosnowym lasem.

Maksymowi Duretowi jako środki lokomocyi służyły tylko jego własne nogi i wynajmowane powozy. Trzymał się ciągle daleko od żelaznych dróg. Przejeżdżał na wiejskich wózkach z jednej miejscowości do drugiej, by jak najbardziej poplątać pozostawione po sobie ślady.

Ewa towarzyszyła już Panajonowi. Chorzy na tyle już wyzdrowieli, iż mogli się z nim połączyć. Ludwika została odwieziona do Paryża przez Kamillę i Maurycego.

Miliarder razem ze swymi towarzyszami, dwu dziestu detektywami, przeszukiwał szczegółowo całe wybrzeże Atlantyku. Był w Leon, Contis, Mimizan, Arcachon, aż wreszcie po licznych kołowaniach po wszystkich tych miejscowościach dotarł do Howitin les Bains, maleńkiej stacyi kuracyjnej, położonej o kilka kilometrów od starego miasteczka, do którego dochodzi kolej lokalna.

To wybrzeże oceanu wyglądało bardzo smutno. Trzy tuziny małych domków, z których większość była niezamieszkałą przez trzy czwarte roku, wystawione były na porywy wiatru, który dął tutaj ustawicznie. Nie ochraniało ich ani jedno drzewo, ostre bowiem powietrze nie pozwalało rosnąć tutaj żadnym roślinom. Las ciągnął się dopiero o kilkaset metrów w głąb kraju.

— Ludzie, którzy tu przyjeżdżają na wakacye, nie bardzo widocznie są wymagający — zauważył Panajon, który siedział obok Lewisa Jacksona na szerokim wózku, specyalnie przystosowanym do nadbrzeżnych piasków. — Widziałem Grande Chartreuse, w którem pobyt nigdy nie był uważany za rozrywkę, a mimo to wydało mi się ono daleko weselszem.

— Tak... — potwierdził miliarder. — Zatrzymaj się, mój przyjacielu — dodał, dotykając się ramienia stangreta.

Dwa konie zaprzęgnięte jeden za drugim, zaraz stanęły. Znajdowali się pośrodku drogi, szumnie nazwanej avenue, wzdłuż której ciągnęły się rzędem niskie domy. Gromada robotników o ciemnych, bronzowanych twarzach, budowała w pobliżu drugą drogę. Z obnażonemi piersiami i rękami, w beretach na głowie, pracowali gorliwie, to kopiąc motykami ziemię, to tłukąc kamienie, które rozsypywano i ubijano na wyrównanej powierzchni. Wysoki mężczyzna o czerwonej twarzy, z grubą laską w ręku kierował robotą.

— Tak — rzekł Lewis Jackson, rozglądając się dokoła z ciekawością, jaką rzadko kiedy można było u niego zauważyć. — Znam w Bretanii małą plażę, którą uważałem za najsmutniejszą na świecie... Widzę teraz, żem się mylił...

Dał znak stangretowi, by ruszył i pojechali znowu.

Detektywi zebrali już tu informacye i udali się w nowym kierunku. Duret po krótkim pobycie tu taj, skierował się na Medoc do Bordeaux. Była dziesiąta godzina rano. O dziesiątej godzinie wieczorem dojechali do Bordeaux, gdzie jednak kończyły się ślady ich uciekiniera.

Gdy Panajon ujrzał, iż ajenci wracają z niczem, omal że nie zaczął wyrywać sobie ze złości włosów z głowy. Piotr zagryzał do krwi wargi.

— Nie traćcie spokoju! — rzekł im miljarder.

— Jakto nie traćcie spokoju — zawołał Panajon — kiedy ślad po nim przepadł!

— Już nieraz on przepadał...

— I zawsze go odszukaliśmy, tak! lecz działo się to na wsi... A teraz jesteśmy w mieście! Jeżeli trudno ukryć się na wsi, a lepiej już w lesie, to zgubienie śladów w mieście o trzystu tysiącach mieszkańców jest najkompletniejszą klęską. Dotychczas byłem spokojny, lecz teraz zaczynam rozpaczać...

Ewa również zaczęła uspakajać Panajona. Nikt nie kładł się spać. Lewis Jackson z towarzyszami swymi i detektywami, spędził całą noc na przeszukiwaniu Bordeaux.

Joe Smith, którego zdolności jako doświadczonego cowboya przynosiły cenne usługi w polu, ustąpił teraz pierwszeństwa Panajonowi. Jankes był niezastąpionym na wsi. Złodziej obejmował dowództwo w mieście. Nocne jednak poszukiwania nie przyniosły żadnego wyniku. Nastąpił dzień, a o Durecie nie było żadnych wiadomości.

Koło pierwszej popołudniu po spożyciu pierwszego śniadania Panajon udał się sam na ogromny plac Quinconces, zastawiony straganami i jarmarcznemi szopami. Dokoła stały tłumy ludzi, była to bowiem niedziela. Słońce świeciło, prażąc niemiłosiernie. Tumany kurzu unosiły się w powietrzu. Złodziej kręcił się po placu bez żadnego planu. Był zniechęcony.

— Nie mam najmniejszej nadziei na schwytanie go... — mówił do siebie. — Lecz ponieważ nie wiem, gdzie się znajduje, może być tak tu, jak i gdzieindziej.

Czując się bardzo zmęczonym, Panajon chciał odpocząć i w tym celu wszedł do najbliższej szopy, nie zauważył przytem, iż nad wejściem widnieje pompatyczny napis „Royal Cinema Theatre“. Siadł na pierwszem z brzegu krześle i wytarł chustką spoconą twarz i czoło. Zaraz zaczęło się przedstawienie, oczy wszystkich zwróciły się na ogromne, białe płótno, zawieszone w głębi szopy.

— Wodospad Niagary! — zawołał służący kinematografu.

Panajon, zajęty swemi myślami, nie rzucił nawet okiem na amerykański krajobraz, jaki się przed nim przesuwał. Przyszedł tutaj, by odpocząć, nie interesując się wcale przedstawieniem.

W chwilę potem służący obwieścił:

— Aleje Pourny!

Aleje Pourny jest to ulubione miejsce spacerowe mieszkańców Bordeaux. Pomysłowy przedsiębiorca pokazywał widoki miasta, w którem urządził kinematograf. Zaciekawienie publiczności wzmogło się. Z tańszych miejsc widowni zaczęły się sypać najrozmaitsze uwagi.

— Patrzcie! O! Stary Ludwik, co sprzedaje gazety.

— A tu właściciel kawiarni angielskiej!

— Ojej! jakie to ładne!

Służący znowu oznajmił:

— Wybrzeża.

Były to, ma się rozumieć, wybrzeża Bordeaux. Okrzyki zaczęły się na nowo.

— O! stara baba, co sprzedaje wodę sodową!

— A zobacz tam, czy dym idzie z komina na *Gironde!*

— Ma się rozumieć, że się kurzy z niego... Zaraz odjedzie... Pasażerowie wchodzą na pokład...

Panajon w chwili tej spojrzał bezwiednie na obraz na płótnie i krzyknął nagle:

— Ah!...

Zerwał się z miejsca i chciał zaraz biedz.

Na pomoście, który łączył statek z brzegiem, cisnęli się ludzie. Siadali oni na *Gironde.* Panajon poznał między nimi Maksyma Dureta. Złodziej, wyciągając machinalnie przed siebie ręce, jakby chciał kogo schwytać, ujrzał, jak prezes idzie przez pokład i znika w drzwiach salonu pierwszej klasy.

— Ah!... — zawołał znowu.

Potem, nie zważając na zdziwienie swych sąsiadów, wybiegł z sali i podskoczył do właściciela kinematografu, który spacerował przed kasą.

— To są widoki Bordeaux? — zapytał go. — Kiedy były one zdejmowane?

— Jakie widoki? — zapytał z kolei właściciel, zdziwiony i zaniepokojony trochę.

— Wybrzeża!

— Zdejmowane były wczoraj...

— A jaki to statek wtedy odjeżdżał?

— Nie wiem... Dlaczego?...

Kilku widzów, zaintrygowanych gestami i nagłem wyjściem Panajona, opuściło swe miejsca i przysłuchiwało się teraz ich rozmowie. Jeden z nich przerwał właścicielowi i odpowiedział za niego z silnym miejscowym akcentem.

— To był statek *Gironde...*

— Dokąd on jedzie? — zapytał Panajon swego informatora.

— Do Pauillac... Odwozi pasażerów, którzy mają się udać do Południowej Ameryki...

— Czy jest pan tego pewny?

— Także pytanie! Czy jestem pewny? Pilotowałem *Girondę!*

— Dziękuję!

Panajon zbiegł ze schodów i puścił się pędem przez plac. Wreszcie dobiegł zadyszany do dorożki, stojącej na rogu ulicy i kazał się wieźć galopem na dworzec, obiecując suty napiwek. W dwadzieścia minut dojechał do kolei. Nadjeżdżał właśnie południowy express. Złodziej tyle tylko miał czasu, by kupić bilet i wsiąść do wagonu, gdyż pociąg zaraz ruszył. Po drodze wysłał jeszcze depeszę do miliardera. Teraz siedział pełen radości w wagonie i zacierając wesoło ręce, patrzył jak słupy telegraficzne migają mu przed oczyma. Pociąg pędząc z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, przejechał przez stacyę Pessac i zagłębił się w olbrzymim sosnowym lesie, który tu się zaczyna, gdy jakiś pasażer zwrócił się do siedzącej koło siebie żony i rzekł z pewną dumą:

— Prawda, ładnie jedziemy?

— Ładnie? — przerwał żywo Panajon, wbrew etykiecie, która podróżnym pociągów luksusowych

nakazuje siedzieć cicho i sztywno jak pieskom porcelanowym. — I pan to nazywa ładną jazdą?... Ależ ja dam mu dwieście kilometrów *for* i przyjadę do Madrytu pierwszy!... i wcale się przytem nie wysilając!

Tymczasem gdy złodziej jechał ku granicy, przypominając sobie w wagonie podróż, jaką kilka dni temu odbył w samochodzie, Lewis Jackson, Joe Smith i Ewa siedzieli w hotelu, odpoczywając w swych pokojach. Piękna prasowaczka oczekiwała powrotu Panajona, który, jak myślała, szuka jeszcze śladów prezesa na ulicach miasta.

— Oby tylko nic mu się złego nie stało — myślała. — Nie powinnam była puszczać go samego!...

Rozmyślania jej jednak przerwało pukanie do drzwi. Odpowiedziała „proszę“ i na progu ukazał się Joe Smith.

— Czego pan pragnie? — zapytała uprzejmym i poufałym tonem, podchodząc do sekretarza, który miał minę cokolwiek wzruszoną i ceremonialną.

— Pomówić z panią — odpowiedział Joe Smith.

Uwagę Ewy zwrócił ton głosu Jankesa, zauważyła przytem i zmieszanie na twarzy gościa, który zawsze był tak spokojny.

— Słucham pana — rzekła zdziwiona. — Proszę usiąść...

Nagle przyszła jej do głowy myśl, od której cała pobladła.

— Czy nie stało się co przypadkiem Ernestowi?...

— Nie!...

To jedno słowo Joe Smith wymówił z grymasem, który wykrzywił mu w gorzki uśmiech całą twarz.

— Ach! — odetchnęła z ulgą Ewa. — Tak mnie pan przestraszył!

Amerykanin znowu uśmiechnął się kwaśno i zaczął mówić:

— Już oddawna walczę z sobą... Chciałem nakazać sobie milczenie... Miłość jednak jest silniejsza...

— Miłość? — rzekła Ewa. — Co to ma znaczyć?

— Że panią kocham od chwili, gdym panią ujrzał po raz pierwszy w Tuileries Palace... że gdym ośmielił się przemówić wtedy do pani, nie ukrywałem swych uczuć... że widząc, jak mało zwraca pani uwagi na mnie, a jak wiele na swego Panajona, milczałem... i że dzisiaj to milczenie jest dla mnie za ciężkiem, że nie mogę już tłumić dalej głosu swego serca...

Ewa zdumiona słuchała w milczeniu tej przemowy, wypowiedzianej urywanym głosem i akcentem, który wydawał się jej śmieszniejszym nawet od twarzy mówcy.

Na szczęście zdziwienie nie pozwoliło wybuchnąć jej śmiechem.

— Oh! panie! — przerwała wreszcie. — Także żałuję... Lecz...

Wahała się, nie wiedząc jak ułożyć zdanie, które byłoby grzeczne a zarazem nie dawało mu żadnej nadziei.

— *Hallo!* — rzekł znowu sekretarz, nie dając jej nawet czasu na odpowiedź. — Jestem dla pani za stary.

— Wcale nie.

— Za brzydki?

— Ależ nie! Przeciwnie!

— *Well!* Cóż się więc nie podoba pani we mnie?

Ewa była zdumiona, lecz wcale nie zmieszana.

— Nic, zapewniam pana, że nic — odpowiedziała. — Pan jest bardzo miłym towarzyszem i dzielnym człowiekiem... Gdybym pana poznała wcześniej, to bardzo możliwe... nawet prawie pewne, że nie pozostałabym obojętną na pańskie słowa... Obecnie jednak pochlebiają mi one bardzo, lecz nie wzruszają.

Mina Joego Smitha jeszcze bardziej się zasępiła.

— Tak — rzekł. — Pani serce zajęte.

Ewa westchnęła, by okazać współczucie Jankesowi i odrzekła:

— Tak... zajęte...

Nastąpiło milczenie. Ewa zakłopotana myślała, w jaki sposób zakończyć tę przykrą rozmowę.

Joe Smith nagle zerwał się z miejsca i zawołał:

— To niemądre! Tak, to niemądre! Pani marnuje życie, które mogłoby być tak pięknem! Niech pani pomyśli tylko, co uczyni z pani ten człowiek, a co ja mógłbym uczynić... *Hallo!* Majątek pani nie pociąga? Czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które dawałbym pani rocznie, nie mają dla pani znaczenia?

Ewa potrząsła głową. Pieniądze nie były dla niej rzeczą obojętną. Rozumiała ich potęgę i kochała tryb życia, jaki one pozwalały jej prowadzić. Ponad wszystkie jednak bogactwa przenosiła swego przyjaciela.

Amerykanin ciągnął dalej:

— I pani nie myśli o tem, że ten, którego pani kocha, jest złoczyńcą?... Recydywistą, karanym kilkakroć przez sądy! Pani marszczenie brwi nic na to nie poradzi... Błyskawice, które rzuca pani teraz z oczu, trafiają mnie w serce, lecz Panajon nie przestanie mimo to być wisielcem...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Zagadka.

Ułożył S. A. J. Kraków.

Co tylko chcesz, to ze mną rób!
Czytasz mnie wprost; kop sobie grób,
Czytasz mnie wspak,
Woli mej znak,
Jeśli inaczej chcesz jeszcze
Pismo z urzędu obwieszczę.

Logogryf.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby rząd środkowy, czytany z góry na dół, podał nam tytuł utworu ś. p. Orzeszkowej.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — — — □ — — — — —
— — — — — — □ — — — — — —
— — — — — □ — — — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Roślina. 3 Utwór Słowackiego 4. Pismo codzienne krakowskie. 5. Utwór Estei. 6. Imię słowiańskie 7. Utwór Kraszewskiego. 8. Znana roślina ozdobna. 9. Sposób rozumowania. 10. Inaczej farba. 11 Materyał budowlany. 12. Wykrzyknik. 13. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył A. Rotyński, Wola Michowa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Dęby do lari fari są Kasi modą, pół ma guza.

Logogryf.

Ułożył A. Rotyński, Wola Michowa.

Litery uporządkować w ten sposób, aby wszystkie rzędy poziome utworzyły nazwiska miejscowości w Galicyi. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam miejscowość w Galicyi wschodniej, w powiecie liskim.

a a a a a a a
c c c c c
c e e e e h h i i
i i i i i j k k k
k k k k k k
l l l l l ł m
m n n ń o o o
o o ó ó ó ó ó ó p
r r r s s s t u
u w w w w
w w w w z z ż

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Łoś, zupa, co, damcia, s, gęś, mim, ze, e.

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Kraków.

Wędruję pieszo wśród skwarnego lata
Przebywam drogi mozolne i długie,
Zda się, żem przeszedł już z połowę świata,
A słońce mocno tak *pierwsze i drugie.*

Jeśli cień znajdę, jak szczęśliwy będę
Ach! *drugie-pierwsze* widnieje w oddali,
Pospieszę raźno, pod nią sobie siędę
A odpocząwszy, pójdę znowu dalej...

Szarada.

Ułożył K. Kaim, Radziszów.

Pierwsze jest w alfabecie, lecz się nie używa
W naszym języku, druga zaś przepływa
Południową krainę, pierwsze zaś i trzecie
Małe szkodniki, dużo ich na świecie!
Wielki sekret ukrywa w sobie ta szarada,
A kto ma list zastawny, ten całość posiada.

Trójkąt magiczny.

Ułożyli Członkowie Czytelni w Birczy.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nam nazwisko znakomitego polskiego kompozytora.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Tkanina jedwabna. 3. Żona jednego z królów polskich. 4. Córka Agamemnona. 5. Miasto w Dalmacyi. 6. Okres czasu. 7. Odezwy królów polskich wzywające na pospolite ruszenie. 8. Dopływ Wisły. 9. Przyimek. 10. Samogłoska.

Łamigłówka.

Ułożył K. Kaim, Kraków.

Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nam zabawy, które niedawno się odbyły.

— y — a
w — t — ych
wi — t —
— o — ół
m — r — sław
a — a — a
— s — s
— r — de

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Artura Schrödera:* **Ostatni Hamlet,** szkic powieściowy oraz pięć innych obszernych nowel.

REUMATYZM i PODAGRĘ

można wyleczyć wszechświatowo znanym środkiem.

Kilka tysięcy osób zupełnie wyleczeni zostali dzięki temu środkowi.

Żądajcie środek ten w każdej aptece lub składzie aptecznym.

Każdy czytelnik tego wydania, cierpiący na reumatyzm lub podagrę, powinien po przeczytaniu niniejszego, niezwłocznie zaopatrzyć się tym cudownym środkiem, gdyż takowy pomaga i w tym wypadku gdzie wszelkie inne lekarstwa nie okazały nawet najmniejszej ulgi. Tysiące nieszczęśliwych, cierpiących na tak męczące choroby jak reumatyzm, podagra, scyatyka i ischias, dzięki temu środkowi powrócili do zupełnego zdrowia.

Ja chciałbym wyleczyć każdego cierpiącego na tę chorobę, gdyż ja sam przez dłuższy czas cierpiałem na jedną z tych najuporczywszych form reumatyzmu i podagry i żaden lekarz nie był w stanie mi pomódz; wszyscy lekarze uznali chorobę mą za nieuleczalną i osądzony zostałem męczyć się i cierpieć do końca mego życia. Będący już blizko rozpaczy, przyszedłem na pomysł chorobę tę studyować i zacząłem usilnie pracować z nadzieją samemu wynaleźć środek dla mego wyleczenia. Po upływie dłuższego czasu udało mi się wynaleźć zestawienie ziół, po którego użyciu uczułem znaczne polepszenie. Z wielką wytrwałością nadal używałem środek ten i po upływie krótkiego czasu, zdołałem oswobodzić się zupełnie od strasznych mych cierpień.

Od tego czasu postanowiłem zapoznać wszystkich cierpiących na tę chorobę z środkiem mym i pokazać im, że choroba ich **nie** jest niewyleczalną, równocześnie chcę wskazać wszystkim jakim sposobem mogą otrzymać dla siebie ten cudowny leczniczy środek. Z każdą pocztą otrzymuję listy dziękczynne, z których poniżej wybrane następujące.



Ruda Maleniecka, 2 Luty 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Przepraszam WPana żem tak długo nie odpisał na list, który otrzymałem i za pamięć dziękuję. Po użyciu czterech pudełek Pańskiego środka „Trayser" ból z ramienia ustąpił i czuję się zdrów. Liczę sobie za obowiązek, między znajomymi rozgłaszać o środku uleczalnym „Trayser". Również niemam nic przeciw temu jeśli Sz. Pan list mój umieści na liście wyleczonych pacyentów przez środek „Trayser".

Z poważaniem **H. Werner.**



Łódź, 12-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Zwracam się do WPana i donoszę Mu, że preparat „Trayser" otrzymałem i po użyciu takowego czuję się zacznie lepiej, spodziewam się, iż przy dalszem używaniu pastylek „Trayser" wyleczę się całkowicie gdyż czuję się coraz lepiej. Równocześnie dołączam swoją fotografię, jak również upraszam list mój umieścić w liście wyleczonych przez preparat „Trayser". Poczytuję sobie za obowiązek rekomendować preparat „Trayser" między cierpiącymi. Dziękuję WPanu za łaskawą pomoc.

Z poważaniem **P. Szymanowski.**



Lublin, 26-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie!

Przepraszam najmocniej, że tak długo nie dałem żadnej odpowiedzi, gdyż czekałem rezultatu mojego leczenia się i dzięki Pańskiemu wynalazkowi „Trayser" jest mi znacznie lepiej. Wdzięczność moja dla WPana jest wielką i gdziekolwiek mogę staram się gorąco polecać środek ten.

Z poważaniem **Bronisław Żarnicki.**



Tarnopol, 16-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie!

Po użyciu Pańskiego leczniczego środka „Trayser" czuję się o wiele lepiej i już mogę sama chodzić. Ten pan z ulicy Kraszewskiego napisał na moje polecenie. Posyłam WPanu fotografię oraz składam serdeczne dzięki za Jego skuteczny „Trayser".

Z szacunkiem **Katarzyna Prochacka.**



Łódź, 5-go Lutego 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Niniejszem zaświadczam skuteczność Pańskiego preparatu „Trayser". Po użyciu jednego pudełka pastylek przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser" czuję się zupełnie dobrze za co WPanu składam najserdeczniejsze podziękowanie. Pański preparat rekomenduję znajomym. Przy niniejszem dołączam swoją fotografię i pozwalam WPanu list mój zamieścić w liście wyleczonych.

Z poważaniem **Stefan Szmidt.**



Ciechanów, 11-go Marca 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Z przyjemnością przesyłam WPanu fotografię swoją i jestem obowiązany potwierdzić, że środek „Trayser" jest najskuteczniejszy i najlepszy dotychczas wynaleziony do leczenia reumatyzmu i podagry, gdyż po użyciu tylko małej ilości tego cudownego środka czuję się zupełnie zdrów i polecam takowy wszystkim znajomym.

Z poważaniem **Franciszek Tetrzyński.**



Łódź, 6-go Marca 1911 r.

Szanowny Panie!

Dziękuję stokrotnie za tak skuteczny środek przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser", gdyż po użyciu takowego zostałem zupełnie wyleczony. Staram się o ile możności polecać ów środek moim znajomym, ażeby dowiedzieli się o cudownym wynalazku WPana.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania

Władysław Zdziennicki.



Radom, 10-go Marca 1911 r.

Szanowny Panie Trayser!

Przepraszam, że tak długo nie odpisywałem, gdyż byłem w podróży. Spieszę donieść, że gdzie mogę polecam lekarstwo WPana, które bez wszelkiej blagi daje wprost świetne rezultaty, o czem niejednokrotnie przekonałem się, i tak mój znajomy kupiec z Radomia p. J. Wadrewski zachorował na reumatyzm, leżał w łóżku 3 miesiące, leczył się różnemi środkami, kosztowało go to grube pieniądze, lecz bez rezultatu, dałem mu pastylki „Trayser" pomogły o tyle, że wstał z łóżka i o kiju zaczął chodzić, dałem adres WPana i sprowadził preparat Pański i dziś jest prawie całkiem zdrów, to samo jest z moją żoną czuje się zupełnie dobrze. Pyta WPan czy może treść listu mego ogłosić, ależ proszę bardzo, wszak to co napisałem jest szczerą prawdą, niema w tem przesady ani też blagi, jestem wielce wdzięczny WPanu gdyż pozbawił żonę moją choroby, tak przykrej i kosztownej w leczeniu. Stosownie do życzenia posyłam fotografię żony. Proszę wierzyć, że gdzie będę mógł będę polecał środek WPana.

Z poważaniem **J. Wagner.**

Na żądanie wysyłam niezwłocznie dokładne adresa wyżej wzmiankowanych osób.

DOPRAWDY, po przeczytaniu powyższego, nawet najuporczywszy sceptyk przyznać musi, że odkrycie tego środka jest darem dla cierpiącej ludności. Ja mogę zapełnić książki w kilkunastu tomach, i wtedy wątpię czy mógłbym umieścić wszystkie otrzymane listy dziękczynne. Młody i stary, bogaty i biedny słowem we wszystkich stanach i warstwach społecznych z wszystkich części świata otrzymuję zawiadomienia o zupełnem wyleczeniu dzięki tylko temu środkowi. Wielu z nich już od kilku lat przykuci byli do łoża, inni zaś z powodu strasznych cierpień reumatycznych tylko za pomocą laski poruszać się mogli, a ani jeden z podobnych wypadków nie okazał się beznadziejnym dla środka od reumatyzmu i podagry „Trayser".

Żądajcie dlatego niezwłocznie środek ten przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser" w każdej aptece lub składzie apt.

Środek ten zestawiony jest w formie pastylki, każda pastylka jest jedną dozą. Wystrzegajcie się podrabiań i żądajcie tylko prawdziwy „Trayser". Aby przekonać WP. że jestem w zupełności pewien w skuteczną siłę mojego leczniczego środka i, że takowy musi bezwarunkowo WP. pomódz, to jeżeli WP. nie żąda niezwłocznie udać się do apteki aby kupić środek ten, nie próbując go wcześniej, gotów jestem wysłać WP. zupełnie bezpłatnie próbny pakiecik tego środka pod warunkiem, że WP. wypełni dokładnie niżej drukowany kupon i przyśle takowy pod moim adresem. Gdy WP. środek ten już spróbuje, może potem żądać takowy w każdej aptece lub składzie aptecznym. Adres mój:

M. E. TRAYSER, Nr. 162 Bangor House, Shoe Lane, LONDON, England.

UWAGA. — Jeśli WP. żądać będzie więcej tego środka, może dostać takowy na miejscu w aptece lub składzie aptecznym.

KUPON.

Upraszam o przesłanie próbnego pakiecika środka leczniczego przeciw reumatyzmowi i podagrze „Trayser" jak również bezpłatną broszurę w języku polskim z opisem o reumatyzmie i podagrze, ich przyczyny, rozmaite postacie i leczenie.

Imię i nazwisko

Adres

Cierpię

(Upraszam napisać tutaj czy na reumatyzm lub podagrę WP. cierpi).

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.